W labiryntach Wszechświata

Witold Wawrzonek

str. 6

BRUCE LEE · prawda i legenda

str. 10

Rys. Józef Tarłowski

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

kamena

NR 17 (784) 14 - 27 sierpnia 1983 CENA 10 ZŁ

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

1933 - 1983 kamena 50 lat CHEŁM · LUBLIN

Zapis genetyczny

Ryszard Rowiński

BYLI żołnierzami. Wpierw tułaczami. Potem żołnierzami. Szli drogą od Lenino. Walczyli pod Kołobrzegiem i tam ślubowali wierność Bałtykowi. Pod starożytną Cedynią wbijali nad Odrą słupy graniczne, choć do umów zawartych w Cecilienhofie było jeszcze daleko. Zawiesili biało-czerwoną na Brandenburskiej Bramie. Ich armata, oddając ostatnie strzały w II wojnie światowej, dziurawiła kopułę Reichstagu, by znaleźć miejsce w Muzeum Wojska Polskiego. A oni zdejmowali mundury z kiepskiego sukna, albo tylko spruwali tasiemki z naramienników, bo innej odzieży nie mieli, i ujmowali rączki pługa. Znów byli chłopami. Wieś Goehren z potrzeby serca nazwali Kościuszkowem. Urządzali to Kościuszkowo według najlepszych wzorów organizacyjnych. Amunicyjny brał chałupę obok kaemisty, kapral zamieszkał obok sierżanta, a drużyny lokowały się tak, aby ciąg stodół i podwórek tworzył porządek plutonu na apelowym placu. Dzieci, pierwsze kościuszkowskie, też zostały podporządkowane temu rygorowi. Otrzymywały wikt ze wspólnego kotła. I podział był sprawiedliwy. Miarą mleka było pudełko od zapałek. Leżące na płask było symbolem biedy. Stojące na siarce było znakiem przybytku. Stawiane na sztorc stawało się znakiem dobrobytu. A potem Kościuszkowo wróciło do starej historycznej nazwy Górzyn.

Dokończenie na str. 5

Siekierezada po lubelsku

Ireneusz J. Kamiński

PAN Zbigniew Warpechowski okazał się pamiętliwy. Jeszcze po miesiącu pamiętał o grupie młodych ludzi podgolonych jak się patrzy, którzy zmusili go do przerwania performance z udziałem papużki — uwiązanej (na wsi powiedziano by, że upolowanej) na sznurku i obrzucanej przez artystę łośnym słowem miłosnym, co zresztą zdenerwowało jakby ptaszka w swej głupocie nie rozumiejącego sensu człowieczej deklaracji. Było to 26 maja br., a więc w Dniu Matki, w ramach imprezy pod tytułem „Sztuka jest elektryczna" którą pod komisarycznym patronatem Dobrosława Bagińskiego urządziło nasze BWA, dając pole do popisu różnym ludziom z Lublina i Kazimierza Dolnego, w tym studentom Instytutu Wychowania Artystycznego UMCS oraz inżynierowi od pneumatyków.

Impreza zapowiadała się zwyczajnie: plansze na ścianach, instalacje na podłodze, projektorek filmowy w bocznej salce, a w samym środku tego interesu — teorie, idee myśli i gesty na miarę doświadczeń intelektualnych i życiowych naszej bezsprzecznie drogiej, nade wszystko dobrej młodzieży. Czyli takie sobie „Ubiory suki doczesnej" albo „Życie jak w bajce" lub „Nihilistyczny Alians Orgiastyczny" — że posłużę się tytułami niektórych wystąpień.

Dokończenie na str. 8

Nad Bugiem w Serpelicach.

Fot. W. Stępień

z notatnika

26 VII. Byłem na krótkim urlopie, gdy w Warszawie zapadła decyzja o przekształceniu „Kameny" w tygodnik. Staraliśmy się o to długo, jeszcze w latach budowy drugiej Polski, ale wówczas trudno było tę sprawę załatwić. Powstawały nowe województwa i jednocześnie nowe tygodniki — lepsze lub gorsze, zależnie od zaplecza kadrowego i miejscowych stosunków. Kadry albo rosły, albo wykruszały się — jeden z tygodników (wychodzący na części terytorium b. województwa lubelskiego) ma już czwartego redaktora naczelnego, tym razem nie z eksportu, co może wpłynąć stabilizująco...

My w „Kamenie" trzymamy się. Mirek w tej samej redakcji pracuje już rok dwudziesty pierwszy, ja — dziewiętnasty, Irek — osiemnasty, Maciek — piętnasty. Znamy się jak łyse konie, co ma swoje plusy i minusy. Ci, którzy przyszli potem — Tadek, Henryk, Anna, Ewa, dwóch Waldków — chyba też zdążyli się już zadomowić.

Tygodnik przyspieszy nurt naszej dziennikarskiej roboty. Dotychczas dusiliśmy się na tych 12 stronicach małego formatu, z numeru na numer pozostawały teksty, które niekiedy dezaktualizowały się. Trzeba było tak redagować pismo, aby każdy mógł znaleźć w nim coś dla siebie. Tylko ok. 10 proc. nakładu „Kameny" dociera do Czytelników w formie prenumeraty, olbrzymią większość egzemplarzy sprzedaje się bezpośrednio w kioskach. Mamy debit na całą Polskę, ale ciągle otrzymujemy sygnały, że w wielu miastach trudno kupić nasze pismo. „Ruch" podejmuje decyzje kolportażowe z dużą ostrożnością; z oddziałem lubelskim nasze wzajemne stosunki układają się na zasadzie przyjacielskiej współpracy, ale dyrektor Zbigniew Frąc nie może przecież nakazać oddziałom w innych miastach wojewódzkich (poza Chełmem, Białą Podlaską i Zamościem), by zamawiały „Kamenę", bo te muszą partycypować finansowo przy ewent. zwrotach. Nie trzeba tu dodawać, że formuła d w u t y g o d n i k a nie jest zbyt wygodna. Trudno tu zachować ciągłość — jeśli jakąś rzecz drukuje się w odcinkach, odstęp 14-dniowy jest zbyt długi, zniecierpliwia Czytelników, którzy zbyt długo muszą czekać na kolejne teksty.

Przejście „Kameny" na tygodnik już teraz, pięć miesięcy przed realizacją, wywołuje w zespole pisma sporo dyskusji. Zdajemy sobie sprawę, że będziemy musieli dobrać kilku pracowników. Jakich — oto jest podstawowe pytanie. Tygodnik ma nieco inną specyfikę niż dziennik, wymaga innej optyki. Mniejszej operatywności, tak, ale z drugiej strony bardziej pogłębionego spojrzenia na otaczającą nas rzeczywistość. Nie mamy zamiaru rozbudowywać zespołu ponad miarę (w jednym z tygodników, pokrewnym tematycznie „Kamenie", jest — sądząc wg. stopki redakcyjnej — aż 19 pracowników, w tym dwóch zastępców redaktora naczelnego), gdyż w dużej mierze pragnęlibyśmy poszerzyć krąg naszych współpracowników. Liczymy tu bardzo na współpracę ze środowiskiem twórczym i środowiskiem naukowym. Dotychczas różnie z tym bywało, choć — szczerze mówiąc — brak dostatecznej ilości miejsca nie pozwalał nam wyjść z szerszą inicjatywą: w jednym numerze mieści się nie więcej niż 85—95 stron znormalizowanego maszynopisu. Nie ma też co ukrywać, że niektórzy spośród twórców i naukowców, którzy niegdyś zasilali nas swymi tekstami, udali się na — jak się powiada — emigrację wewnętrzną. Zniesienie stanu wojennego, dalsza normalizacja życia społecznego powinny — liczymy na to! — pozytywnie wpływać na zmianę ich stanowiska. Pozostawiamy to c z a s o w i, aczkolwiek podkreślamy, że drzwi redakcji są szeroko otwarte i każdą inicjatywę powitamy z radością.

Był czas, gdy „Kamena" miała w nadtytule nazwy czterech miast: Białystok, Kielce, Lublin, Rzeszów, co wiązało się z tzw. Unią Czterech. Później w Białymstoku, Kielcach i Rzeszowie powstały własne pisma o charakterze kulturalno-społecznym, no, i sama Unia Czterech umarła śmiercią naturalną. Unia — unią, twór to zresztą nie był zbyt udany, ale nic nie stoi na przeszkodzie, aby przy formule t y g o d n i k a w pewnej mierze powrócić do dawnych doświadczeń i wyjść spoza lubelskich opłotków. Sądzimy, że mogliby nam w tym pomóc reportażyści zatrudnieni w poszczególnych tygodnikach ukazujących się na terenie Polski wschodniej. „Kamena" zyskałaby nowe pióra, a jednocześnie — nie mam tu niczego do ukrycia — znalazłaby przyjaciół, którzy na łamach macierzystych redakcji pomogliby nam propagandowo poszerzyć bazę czytelniczą. Nie stanowimy wobec siebie konkurencji, wzajemnie możemy się jedynie uzupełniać.

Zwiększenie do 16 stron objętości pisma pozwoli nam również pełniej nawiązać do przedwojennych tradycji „Kameny" — mam tu na myśli popularyzację literatury narodów słowiańskich, choć nie tylko słowiańskich. Niemniej samo położenie Lublina obliguje nas do szerszego zajęcia się literaturą ukraińską, białoruską i rosyjską, której zresztą tak wytrwale patronował sam założyciel pisma.

Specjalną uwagę będziemy się starali poświęcać młodzieży, która stanowi potężny zastęp naszych Czytelników. Pisać nie tylko dla niej, ale i o niej, również jej piórami. Nie jest to zadanie przekraczające nasze możliwości.

Z dużym zaciekawieniem zapoznalibyśmy się również z propozycjami samych Czytelników. REDAGUJ Z NAMI — możemy wysunąć takie hasło. Czekamy na listy z konkretnymi sugestiami. Pomogą nam one lepiej sprecyzować program pisma i podjąć te tematy, które cieszą się powszechnym zainteresowaniem.

Myślmy więc wspólnie, jest trochę czasu, choć nie za wiele!

1 VIII. Przejrzałem po urlopie zaległą prasę. Oto dwa ogłoszenia z „Kuriera Polskiego":

„Antyki kupię! Zapłacę lepiej od Desy. Tylko stare, bardzo bogato rzeźbione. Barok, gdańskie, gotyk. Łoże, szafę, krzesła, rozsuwany olbrzymi stół. Niekoniecznie komplety. Opisy z ceną, inaczej nie odpowiadamy. Leopold Ziewalski, 66-011 Nowogród Bobrzański, Poste Restante".

„Kupię lub odpłatnie odbiję ksero — tłumaczenia obojętnie na jakie języki: „Tybetańską księgę umarłych" oraz fragmentów tybetańskich „Kantyva i tantyva". Również zbliżone wydania. Apelujemy: Pomóż nauce polskiej, jej ekstremalnym, odważnym, świato-, dogamato-, autorytetoburczym autorytetoburczym umysłom szukającym pradziejów w kosmosie! Lepold Ziewalski, 66-011 Nowogród Bobrzański, Poste Restante".

Jak z tego widać, pan Ziewalski ma bardzo wszechstronne zainteresowania: ściśle ziemskie i ściśle kosmiczne. Chętnie bym pomógł nauce polskiej, ale po pierwsze wspomnianych książek nie mam, a po drugie do ekstremalnych umysłów raczej nie czuję sympatii...

A oto innej treści ogłoszenie z tegoż „Kuriera Polskiego":

„Przystojna, wysoka dziewica, bez zalet, 29 lat, pozna miłego w średnim wieku, z zaletami, celem ułożenia sobie życia. Oferty..."

Jak widać, dziewictwo nie jest w drugiej połowie XX wieku zaletą, ale jak ta p r z y s t o j n a i w y s o k a pani w wieku lat 29 tak długo wytrwała — oto jest pytanie!

4 VIII. We Wrocławiu wychodzi tygodnik polityczno-społeczny „Sprawy i Ludzie". Na ostatniej stronie ukazuje się rubryka pt. „Z notatek zgryźliwego dogmatyka" pióra Hieronima Orzeszka. Orzeszek jest nie tylko zgryźliwy, ale i dowcipny. Posłuchajmy:

„Moi młodsi znajomi zaprosili mnie niedawno na spotkanie weteranów ruchu młodzieżowego, którzy 35 lat temu założyli ZMP. Tak się rozochocili w swoich wspomnieniach snutych o suchym pysku, że wśród innych pieśni tamtego czasu zaintonowali także: „Nie papież nam Wybrzeże dał, ni Śląsk biskupów był..." Drugiej zwrotki nie zdążyli nawet zacząć, gdyż jakiś działacz-organizator strofował ich:
— Ależ, panowie, to przecież nie wypada!

Tak, ja też uznałem to za haniebny brak politycznej roztropności przeszkadzający w porozumieniu. W zamian za to musiałem iść z nimi na prywatną wódkę. Piliśmy w altance na ogródkach działkowych „Zielona Przyszłość", a gdyśmy potem, wracając do domu, zaintonowali potężnym głosem „Kiedy ranne wstają zorze", ludzie zrugali nas plugawymi słowy z okien. Co tu śpiewać, towarzysze, co śpiewać?"

„W telewizji jest [...] coraz lepiej. Po komasacji najlepszych pomysłów i realizacji z dwóch programów w jednym bloku jesteśmy znowu w pełnym blasku lat minionych. Z lotu ptaka podziwiamy wijącą się wspaniale asfaltowo-betonową wstęgę: Trasę Łazienkowską i pewna drętwa para wkutym na blachę tekstem wciska nam teorię wyższości bostona „tańczącego przez eleganckiego dżentelmena ze zwiewną lady" nad podskokami „zdegenerowanych hippisów". Nadto oglądamy wnętrza pałaców, których w Polsce mamy do zagospodarowania jeszcze około 900 i śmiejemy się do rozpuku z „Czterdziestolatka". Wszystko to będzie zapewne wykorzystane jako okoliczność łagodząca w procesie obywatela Macieja Szczepańskiego".

Polecam Czytelnikom „Kameny" tygodnik „Sprawy i Ludzie", pozostając w nadziei, że z kolei to pismo zareklamuje wrocławianom „Kamenę". Bo najgorsze jest milczenie...

7 VIII. No, no, wypada nam dalej wierzyć w piłkarską drużynę Motoru co najmniej tak, jak wierzyliśmy jej w ubiegłym sezonie, kiedy walczyła o awans do I ligi! W pierwszym meczu na własnym boisku Motor pokonał zespół Śląska i to bardzo przekonywająco w stosunku 3:0, obejmując prowadzenie w tabeli. Do zachodu słońca jeszcze daleko, ale dobry początek został zrobiony. Dziękuję i życzę dalszych sukcesów! Nie od rzeczy będzie dodać, że wśród strzelców bramek znaleźli się Zbigniew Kakietek i Leszek Iwanicki. Obaj przeszli do Motoru z Legii, a transfer, jak doniosła PAP — kosztował po dwa miliony złotych, czyli w sumie cztery. Czy to dużo, czy mało, nie mnie oceniać; na szczęście ciągle jest jeszcze mowa o złotówkach... Chwilami tak się zastanawiam: jakby to było, gdyby podobne prawa rządziły światkiem dziennikarskim? Ile złotych „Tygodnik Zamojski" musiałby zapłacić Lublinowi i Białystokowi za swego naczelnego, red. Zdzisława Kazimierczuka? Ile „Słowo Podlasia" Lublinowi i Chełmowi za red. Tadeusza Winiarczyka? (Pisząc „Białystok" czy „Lublin" mam na myśli redakcje, które ich wychowały!) I nie dziwię się już zupełnie temu, że niektóre miasta, które nagle stały się siedzibami województw, chciały sobie swego czasu zafundować środowisko literackie, kusząc twórców willami...

Wracając do piłki nożnej... Telewizja pokazała nam drugą połowę meczu Lecha z Wisłą. Mistrz Polski zwyciężył, ale ile okazji zmarnował? Trudno oczekiwać, by w rozgrywkach pucharowych zbytnio mu się wiodło. Lechia też tylko zremisowała ze Stilonem Gorzów. Do Turynu może jechać. Po cytryny.

Po złoty medal pojechał jednak do Helsinek Edward Sarul. Nie tak ważny jest sam wynik w rzucie kulą (21,39 m), ile mocne nerwy tego zawodnika. Zwyciężył ostatnim rzutem pokazując n a m a c a l n i e światu, że kryzys w Polsce przezwyciężamy! Pierwsze mistrzostwa świata w lekkoatletyce zapowiadają się nad wyraz interesująco!

8 VIII. Jan Górec-Rosiński, polemizując z Jerzym Turowiczem, który na łamach „Tygodnika Powszechnego" (z 31 lipca br.) zamieścił artykuł pt. „Jaki będzie ten kraj", pisze: „... bardzo mi się nie podoba, gdy Polacy piszą o swoim kraju jako o t y m kraju, gdy mają na myśli t e n kraj, gdy chcą pomóc t e m u krajowi, gdy modlą się o porozumienie w t y m kraju. Jest to bowiem m ó j kraj i n a s z kraj — bez względu na światopogląd i postawy polityczne..."

M. A. Jaworski

NASTĘPNY NUMER BĘDZIE MIAŁ 16 STRON CENA BEZ ZMIAN

KRONIKA

● Około 100 osób skorzystało już w okręgu lubelskim z ustawy o amnestii. W całym kraju amnestia objęła, jak dotąd, prawie 2300 osób.

● Rolnictwo w regionie: dobre zbiory zbóż, ładne owoce, stabilizacja cen wolnorynkowych na prosięta (przeciętnie od 5000 zł do 8000 zł za sztukę). Podczas żniw rolnicy powszechnie narzekali na wyprodukowane w minionym roku w Poznaniu snopowiązałki, które psuły się już po kilku kwadransach pracy!

● Podczas minionych 10 lat na koncie lubelskiego Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia zgromadzono 856 mln zł, z czego 581 mln zł wpłynęło bezpośrednio od mieszkańców. Za pieniądze te wybudowano m.in. osiem ośrodków zdrowia i pięć przychodni, nowoczesny szpital w Lubartowie, pawilony specjalistyczne, dom opieki społecznej... Obecne wpłaty na NFOZ są jednak zbyt nikłe w stosunku do potrzeb inwestycyjnych służby zdrowia.

● W ślad za dziennikami Lublina podnieśliśmy alarm — skromny, bo ograniczony do tej rubryki — że Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki pominęło nasz ośrodek akademicki na ustalonej niedawno liście centrów nauki polskiej. Tymczasem resort zrewidował swoją decyzję i oto Lublin, miasto pięciu wyższych uczelni, wprowadzono do owego rejestru — obok Gdańska, Katowic, Krakowa, Łodzi, Poznania, Warszawy i Wrocławia.

● Od lat w regionie lubelskim trwają badania archeologiczne, prowadzone przez pracowników Zakładu Archeologii UMCS, PKZ, Muzeum Okręgowego i instytucji z innych miast. W tym roku po raz pierwszy można było stwierdzić z całą pewnością, że obserwowany od pewnego czasu spadek zainteresowania młodzieży — także wybierającej się na studia archeologiczne! — sezonową pracą przy wykopaliskach przybrał charakter stałej tendencji. Widać młodzież nie wie, że właśnie archeolodzy żyją najdłużej ze wszystkich profesji.

● Za wieloletnią wytrwałą działalność w sferze upowszechniania historii narodowej i opracowanie scenariusza do znanej wystawy „Dzieci Zamojszczyzny oskarżają" — Józef Wnuk otrzymał nagrodę ministra kultury i sztuki. Nasze serdeczne gratulacje. (Przy okazji przypominamy, że uczestnik setek, a chyba tysięcy spotkań z młodzieżą szkolną, autor książki: „Dzieci polskie oskarżają" i „Losy dzieci polskich w okresie okupacji" przygotowuje kolejną publikację, chronologicznie związaną z okresem bezpośrednio powojennym, kiedy to p. Wnuk był szefem polskiej misji repatriacyjnej w Heidelbergu, dziś RFN).

● 7 sierpnia w Galerii Letniej Kazimierza Dolnego otwarto wystawę Tadeusza Augustynka, który prezentuje dokumentację swej działalności architektonicznej oraz malarstwo i grafikę.

W 90 rocznicę urodzin Włodzimierza Majakowskiego

Włodzimierz Majakowski

JA SAM

Fragmenty autobiografii

Repr. W. Stępień

Temat

Jestem poetą. Właśnie dzięki temu jestem interesujący. I właśnie o tym piszę. O reszcie — tylko jeżeli stała się słowem.

Najważniejsze

Urodziłem się 7 lipca 1894 roku (albo 93 — tu opinie mamy i ojcowskiego wykazu służby są różne. W każdym razie nie wcześniej). Miejsce — wieś Bagdady, gubernia kutaiska, Gruzja.

Członkowie rodziny

Ojciec: Włodzimierz Konstantinowicz (bagdadzki leśniczy), zmarł w roku 1906.

Mama: Aleksandra Aleksiejewna.

Siostry:

a) Luda.

b) Ola.

Innych Majakowskich chyba nie ma.

Źródła romantyzmu

Pierwszy dom, który zapamiętałem dokładnie. Parter i piętro. Piętro — nasze. Parter — wytwórnia win. Raz do roku — arby winogron. Wyciskali. Ja jadłem. Oni pili. Wszystko to na terenie prastarej gruzińskiej twierdzy pod Bagdadami. Twierdzę otacza czworoboczny wał forteczny. W narożnikach — stanowiska dla dział. W wałach strzelnice. Za wałami fosa. Za fosą lasy i szakale. Nad lasami góry. Gdy podrosłem, wchodziłem na najwyższą. Góry obniżają się ku północy. Na północy parów. Marzyłem — to Rosja. Ciągnęło mnie tam niewiarygodnie.

Nauka

Uczyła mnie mama i rozmaite kuzynki. Arytmetyka wydawała mi się nieprawdopodobna. Musiałem liczyć jabłka i gruszki rozdawane chłopcom. A przecież mnie zawsze dawano i ja dawałem bez liczenia. Na Kaukazie owoców jest w bród. Czytać nauczyłem się z przyjemnością.

Egzamin

Przeprowadzka. Z Bagdadów do Kutaisu. Egzamin do gimnazjum. Zdałem. Zapytali mnie o kotwicę (na moim rękawie) — wiedziałem dobrze. Ale ksiądz zapytał, co to jest „oko". Odpowiedziałem: „Trzy funty" (tak po gruzińsku). Uprzejmi egzaminatorzy wytłumaczyli mi, że „oko" to „głaz"[1] w języku staro-cerkiewno-słowiańskim. Przez to o mało nie oblałem. I znienawidziłem od razu wszystko, co stare, cerkiewne i słowiańskie. Możliwe, że stąd wziął się i mój futuryzm, i mój ateizm, i mój internacjonalizm.

Gimnazjum

Klasa wstępna, pierwsza i druga. Jestem prymusem. Cały w piątkach. Czytam Julesa Verne'a. W ogóle fantastykę. Jakiś brodacz dopatrzył się u mnie zdolności malarskich. Uczy mnie za darmo.

Wojna japońska

W domu zwiększyła się liczba gazet i czasopism. „Russkije Wiedomosti", „Russkoje słowo", „Russkoje bogatstwo" i tak dalej. Czytam wszystko. Jestem niesamowicie podniecony. Zachwycają mnie pocztówki z krążownikami. Przerysowuję je w powiększeniu. Pojawiło się słowo „proklamacja". Proklamacje wieszali Gruzini. Gruzinów wieszali kozacy. Moi przyjaciele to Gruzini. Zacząłem nienawidzić kozaków.

Bibuła

Przyjechała siostra z Moskwy. Rozentuzjamowana. Ukradkiem dała mi długie papierki. Podobało mi się to: bardzo ryzykowne. Pamiętam i teraz. [...]

To była rewolucja. To było wierszem. Wiersze i rewolucja jakoś się złączyły w moim umyśle.

Rok 905

Nie mam głowy do nauki. Posypały się dwójki. Przeszedłem do czwartej tylko dlatego, że rozbito mi głowę kamieniem...

Socjalizm

Przemówienia, gazety. Stąd — nieznane pojęcia i słowa. Poszukuję wyjaśnień. W witrynach białe książeczki „Buriewiestnik"*. Też o tym samym. Kupuję wszystko. Wstawałem o szóstej rano. Czytałem na umór. Pierwsza: „Precz z socjaldemokratami". Druga: „Gawędy ekonomiczne". Na zawsze zdumiała mnie zdolność socjalistów do rozplątywania faktów, do systematyzowania świata. „Co czytać?" — chyba Rubakina*. Przeczytałem, co radził. Wielu rzeczy nie rozumiem. Pytam. Wprowadzono mnie do kółka marksistowskiego. [...]

Rok 906

Umarł ojciec. Ukłuł się w palec (zszywał papiery). Zakażenie krwi. Od tego czasu nie znoszę szpilek. Skończył się dobrobyt. Po pogrzebie ojca zostały nam trzy ruble. Instynktownie, gorączkowo wyprzedaliśmy stoły i krzesła. Wyruszyliśmy do Moskwy. Po co? Nawet znajomych tam nie mieliśmy.

W Moskwie

Z jedzeniem źle. Renta — 10 rubli miesięcznie. Ja i dwie siostry uczymy się. Mama zmuszona jest wynajmować pokoje i brać stołowników. Pokoje nędzne. Mieszkali u nas biedni studenci. Socjaliści. Pamiętam — pierwszy „bolszewik", którego poznałem, był Wasia Kandełaki*.

Praca

Pieniędzy w domu nie ma. Trzeba wypalać i malować. Zapamiętałem zwłaszcza wielkanocne jajka. Okrągłe, kręcą się i skrzypią jak drzwi. Jajka sprzedawałem w chałupniczym sklepie na Nieglinnej. Po 10—15 kopiejek sztuka. Od tego czasu bezgranicznie nienawidzę Bemów*, rosyjskiego stylu i chałupnictwa.

Gimnazjum

Przeszedłem do czwartej klasy gimnazjum nr 5. Pałki, z rzadka przeplatane dwójkami. Pod ławką „Anty-Dühring".

Lektury

Beletrystyki nie uznawałem absolutnie. Filozofia. Hegel. Przyrodoznawstwo. Ale przede wszystkim marksizm. Żadne dzieło sztuki nie zachwycało mnie bardziej niż „Przedmowa" Marksa. Z pokoi studentów płynęła bibuła. „Taktyka walk ulicznych" itd. Pamiętam dokładnie niebieską Leninowską broszurę „Dwie taktyki". Podobało mi się, że stronice ucięte są przy linii druku. Żeby łatwiej było schować. Estetyka maksymalnej oszczędności.

Pierwszy półwiersz

Gimnazjum nr 3 wydawało nielegalne pisemko „Poryw". Obraziłem się. Inni piszą, a ja nie mogę?! Zacząłem bazgrać. Wyszło coś niewiarygodnie rewolucyjnego i równie okropnego. W rodzaju dzisiejszego Kirillowa*. Nie pamiętam ani jednej linijki. Napisałem drugi. Wyszło lirycznie. Uważając, że taki stan uczuciowy nie licuje z moją „socjalistyczną godnością", zarzuciłem pisanie całkowicie.

Partia

Rok 1908. Wstąpiłem do partii SDPRR (bolszewików). Zdawałem egzamin w podrejonie handlowo-przemysłowym. Zdałem. Jestem propagandzistą. Odwiedziłem piekarzy, potem szewców i wreszcie drukarzy. Na konferencji miejskiej wybrano mnie do Komitetu Miejskiego. [...] Przybrałem miano „towarzysza Konstantego". Nie popracowałem tutaj długo — zamknęli mnie.

Aresztowanie

29 marca 1908 r. wpadłem w zasadzkę w Gruzinach*. Nasza nielegalna drukarnia. Zjadłem notes. Z adresami i okładką. Komisariat Priesnieński. Ochrana. Komisariat Suszczewski. Śledczy Woltanowski „uważał się chyba za bardzo chytrego", zmusił mnie do pisania pod dyktando: podejrzewali mnie o pisanie proklamacji. Beznadziejnie fałszowałem dyktando. Pisałem: „socjaldymokrytyczna". Chyba ich nabrałem. Wypuścili mnie za poręką. [...]

Wyszedłem. Przez jakiś rok — praca partyjna. I znowu krótka odsiadka. Zabrali mi rewolwer. Machmudbekow, przyjaciel ojca, wówczas zastępca naczelnika Kriestów*, aresztowany przypadkowo u mnie w zasadzce, zeznał, że rewolwer jest jego, i zwolnili mnie.

Trzecie aresztowanie

Nasi lokatorzy (Koridze, pseud. Morczadze, Gerulaitis i in.) robią podkop pod Tagankę. Chcą uwolnić katorżniczki. Udało się zorganizować ucieczkę z więzienia Nowińskiego. Wzięli mnie. Nie chciałem siedzieć. Urządzałem awantury... Przenosili mnie z aresztu do aresztu — Basmanny, Mieszczański, Miasnicki itd. — i wreszcie — Butyrki. Pojedynka nr 103.

Jedenaście miesięcy w Butyrkach

Najważniejszy dla mnie okres. Po trzech latach teorii i praktyki — rzuciłem się na beletrystykę.

Przeczytałem wszystkie nowości. Symboliści — Biely, Balmont. Podobało mi się nowatorstwo formalne. Ale było obce. Tematy, obrazy nie mojego życia. Spróbowałem sam pisać równie dobrze, ale o czym innym. Okazało się, że równie dobrze o innym — się nie da. Wyszło koturnowo i rozpłaczliwie. Coś w rodzaju:

W słonecznych promieniach cerkwie
się złociły,
Mieniły się lasy od złota, purpury,
Czekałem, lecz w miesiącach dni się
pogubiły,
Tysiące dni ponurych.

Zapisałem tym cały zeszyt. Całe szczęście, że dozorcy przy wyjściu zabrali. Bo jeszcze bym wydrukował! [...]

W czasie odsiadki sądzili mnie za pierwszą sprawę — winien, ale nieletni. Oddać pod nadzór policji i pod opiekę rodziców.

Tak zwany dylemat

Wyszedłem podniecony. Ci, których przeczytałem, to tak zwani wielcy. Ale jak nie trudno pisać lepiej od nich. Już i teraz mam prawidłowy stosunek do świata. Potrzebne jest tylko doświadczenie w sztuce. Skąd je wziąć? Jestem nieukiem. Muszę przejść poważną szkołę. A wyrzucili mnie nawet z gimnazjum, nawet ze Stroganowskiej*. Jeśli zostanę w partii — muszę zejść do podziemia. W podziemiu, zdawało mi się, nie ma mowy o nauce. Perspektywa — przez całe życie pisanie ulotek, wypowiadanie myśli, zaczerpniętych z dobrych, ale nie przeze mnie napisanych książek. Jeżeli wytrząsnąć ze mnie to, co przeczytałem, co pozostanie? Metoda marksistowska. Ale czy ta broń nie dostała się w dziecinne ręce? Łatwo nią operować, jeżeli ma się do czynienia tylko z myślą swoich. A co przy spotkaniu z wrogami? [...]

Przerwałem pracę partyjną. Zabrałem się do nauki.

Początek mistrzostwa

Wydawało mi się, że wierszy pisać nie mogę. Próby były żałosne. Wziąłem się do malarstwa. Uczyłem się u Żukowskiego*. Razem z jakimiś paniusiami malowałem srebrne serwisiki. Po roku przyszło opamiętanie — uczę się robótek ręcznych. Poszedłem do Kielina*. Realista. Dobry rysownik. Świetny nauczyciel. Stanowczy. Zmienny.

Wymagania — mistrzostwo, Holbein. Nie znosi ładności.

Poeta, którego szanuje — Sasza Czorny*. Cieszył go jego antyestetyzm.

Ostatnia uczelnia

Siedziałem nad „głową" przez rok. Wstąpiłem do Szkoły Malarstwa, Rzeźby i Architektury: jedyne miejsce, gdzie przyjęto mnie bez świadectwa prawomyślności. Pracowałem dobrze.

Dziwne: naśladowców hołubią — samodzielnych prześladują. Łarionow*, Maszkow*. Rewinstynktownie stanąłem po stronie prześladowanych.

Dawid Burluk*

Na uczelni pojawił się Burluk. Mina bezczelna. Lornetka. Surdut. Chodzi i śpiewa. Zacząłem się czepiać. Prawie się pobiliśmy.

Pamiętna noc

Rozmowa. Od nudów rachmaninowowskich przeszliśmy na uczelniane, od uczelnianych — na całą nudę klasyczną. Dawida ponosił gniew mistrza, który wyprzedził swoich współczesnych, mnie — patos socjalisty, przekonanego o konieczności burzenia starzyzny. Narodził się rosyjski futuryzm.

Następna

W ciągu dnia napisałem wiersz. A raczej kawałki. Złe. Nigdzie nie drukowane. Noc. Bulwar Srietieński. Recytuję wiersz Burlukowi. Dodaję, że to napisał jeden z moich znajomych. Dawid zatrzymał się. Przyjrzał mi się. Ryknął: „Ależ to pan sam napisał! Ależ pan jest genialnym poetą!" Ucieszył mnie tak wspaniały i niezasłużony epitet. Całkowicie pogrążyłem się w wierszach. Tego wieczoru nieoczekiwanie zostałem poetą.

Dziwactwa Burluka

Już rano Burluk, przedstawiając mnie komuś, dudnił: „Nie zna pan? Mój genialny przyjaciel. Znakomity poeta Majakowski". Szturcham go. Ale Burluk jest nieustępliwy. Odchodząc wrzeszczał nawet na mnie: „Teraz niech pan pisze. Bo postawi mnie pan w idiotycznej sytuacji".

I tak codziennie

Trzeba było pisać. No więc napisałem pierwszy (pierwszy zawodowy, publikowany) wiersz „Szkarłatne i białe" i inne.

Wspaniały Burluk

Zawsze z miłością myślę o Dawidzie. Wspaniały przyjaciel. Mój prawdziwy nauczyciel. Burluk zrobił ze mnie poetę. Czytał mi Francuzów i Niemców. Podsuwał książki. Chodził i mówił bez końca. Nie puszczał od siebie na krok. Dawał mi codziennie 50 kopiejek. Żebym pisząc nie był głodny.

Na Boże Narodzenie zabrał mnie do siebie, do Nowej Majaczki. Przywiozłem „Port" i inne.

„Policzek"

Wróciliśmy z Majaczki. Jeżeli nie z wyraźnymi poglądami, to w każdym razie z wyostrzonymi temperamentami. W Moskwie Chlebnikow*. Jego spokojną genialność zaćmiewał wówczas zupełnie w moich oczach kipiący Dawid*. Uwijał się tu również futurystyczny jezuita słowa — Kruczenych*.

Po kilku nocach liryki spłodziliśmy wspólny manifest. Dawid zbierał, przepisywał, we dwóch wymyśliliśmy tytuł i wydaliśmy „Policzek gustom publiczności".

Chwieją się

Wystawy „Bubnowyj walet"*. Dyskusje. Ogniste przemówienia moje i Dawida. Gazety zaczęły się zapełniać futuryzmem. Ton był niezbyt uprzejmy. Na przykład mnie nazywano po prostu „sukinsynem".

Dokończenie na str. 7

ŚRODOWISKO LUBELSKIE (13)

Awers i rewers

Mirosław Derecki

Do „Kameny" zaangażowano mnie w styczniu 1963 r., a w kilka miesięcy później do zespołu redakcyjnego dołączył Zdzicho Jastrzębski, wybijający się już wówczas krytyk, eseista, znawca Norwida, Leśmiana oraz badacz młodej literatury okupacyjnej, na której temat pisał właśnie pracę doktorską. Jego nazwisko pojawiało się od kilku lat często na łamach najpoważniejszych krajowych pism kulturalnych oraz periodyków literaturoznawczych, od dawna związany był także z „Kamenią" — debiutował na jej łamach w 1956 r., m.in. artykułem „Aktualności Norwida". Teraz obejmował w „Kamenie" stanowisko kierownika działu literackiego; równocześnie pracował w Instytucie Medycyny Pracy i Higieny Wsi, gdzie zorganizował i prowadził bibliotekę naukową. Wraz z Tadeuszem Kłakiem, znawcą Czechowicza i Leśmiana, stałym współpracownikiem, autorem m.in. „Przeglądu prasy", wzorowanego trochę na podobnej rubryce prowadzonej w „Życiu Literackim" przez M. A. Styksa — Józefa Maślińskiego, mogli oni postawić sprawy literatury w „Kamenie" na bardzo wysokim poziomie. Niestety, splot okoliczności sprawił, że nic z tego nie wyszło: Jastrzębski zdecydował się na odejście z redakcji, a Kłak zagrzebał się na szereg lat w Nałęczowie jako dyrektor Muzeum im. Bolesława Prusa...

* * *

Zdzicha poznałem latem 1956 r. podczas pobytu na wakacyjnym obozie Teatru Akademickiego KUL we Fromborku, gdzie dostałem się „przez protekcję" jako jedyny nie-kulowiec, członek studenckiego Zespołu Dramatycznego przy UMCS. Kierował obozem — którym od strony dydaktyczno-artystycznej opiekowała się prof. Irena Sławińska, zwana popularnie na całym uniwersytecie „Ciotką" — właśnie Zdzisiek Jastrzębski.

Frombork był wtedy miasteczkiem leżącym na poły w ruinie, po przejściu tędy działań wojennych. Mieszkaliśmy na wzgórzu, w pobliżu Katedry, w ukrytych wśród zieleni, lekko rozpadających się dawnych domkach kanoników. Warunki były co się zowie spartańskie: spaliśmy na jakichś niewiarygodnie powykręcanych, zdezelowanych żelaznych łóżkach szpitalnych, po wodę chodziło się aż na Rynek, do jedynej czynnej wówczas w miasteczku pompy, gotowaliśmy i zaopatrywaliśmy się w spożywcze produkty własnym przemysłem. Cały dzień trwały zajęcia z wiedzy o teatrze, z literatury; młoda aktorka — lublinianka — Danuta Nagórna prowadziła ćwiczenia z dykcji oraz recytacji. Z prof. Sławińską dokonywaliśmy analizy tekstu przygotowywanej do wystawienia przez Teatr Akademicki sztuki Anny Swirszczyńskiej. Natomiast wieczorami byłem świadkiem długich i gorących dyskusji na temat poezji Kamila Baczyńskiego i Tadeusza Gajcego i całego szeregu innych młodych, już w większości nieżyjących, polskich poetów z lat okupacji; o tym całym spoczywającym pod gruzami Warszawy literackim pokoleniu, o którego istnieniu przeciętny student polonistyki wiedział wówczas bardzo niewiele albo zgoła w ogóle nic...

Tym dyskusjom nadawał ton nasz kierownik obozu, autor przygotowywanej właśnie do druku niedawnej pracy magisterskiej: „Pamiętnik artysty. O Vademecum Norwida" a w przyszłości — doskonałej książki: „Literatura pokolenia wojennego wobec dwudziestolecia". Zaprzyjaźniłem się wówczas z gromadą młodych polonistów zakochanych w teatrze i sposobiących się do szturmu na sceny zawodowe: Elą Wojciechowską, Zbyszkiem Staweckim, Romą Świderską, Elżbietą Marylską, Atkiem Chruszczewskim i jego narzeczoną Kreską, z Mietkiem Trochimiukiem. Ela Wojciechowska trafiła później do krakowskiego Teatru Rapsodycznego, Zbyszek Stawecki po epizodzie z warszawską PWST objawił się nagle jako doskonały autor tekstów piosenek, „pierwszy autor" Ireny Santor. Atek Chruszczewski aż do lat siedemdziesiątych, poza asystenturą na KUL-u — opiekował się zespołami teatralnymi uniwersytetu. Tylko Mietek Trochimiuk, ten Mietek przygotowujący się poważnie do zawodu krytyka teatralnego, rzucił po kilku latach wszystko w diabły. Czarny parasol, z którym dystyngowanie, „po angielsku" paradował po Krakowskim Przedmieściu zawiesił na kołku i wyjechał z żoną — również polonistką — na ojcową schedę gdzieś pod Białą Podlaską, gdzie zajął się hodowlą owiec na wielką skalę...

Zdzisiek Jastrzębski był wysoki, szczupły, o pociągłej, raczej nawet — suchej twarzy, bardzo dojrzały jak na swoje dwadzieścia sześć lat, bardzo serio i raczej pozbawiony poczucia humoru. Gdyby nie ten brak humoru, nie owo ciągłe jakby zatroskanie, czy może raczej: zapatrzenie w poważne, nurtujące go problemy krytyczno-literackie, można by było o nim powiedzieć, że reprezentował typ h a r c e r z a. Takiego przedwojennego, podobnego do tych chłopców i młodzieńców, o których zbierał materiały, i o których pisał, a którzy pewnego dnia odmeldowali się Muzom i pomaszerowali na barykady Powstania. Obóz teatralny prowadził silną ręką, był wymagający, ale nie do przesady. W ogóle — dał się lubić, choć jego przyjaźń zaskarbić sobie było niełatwo. Poza zajęciami trzymał się trochę na uboczu, asystując swojej narzeczonej, Ani Gąsiorowskiej, z którą miał się wkrótce żenić.

We wrześniu czy też październiku tegoż roku byłem na ich ślubie, a potem także na weselu w domu rodzinnym Anki, w kamieniczce przy ulicy Szewskiej w Lublinie. Było bardzo wesoło i serdecznie i wydawało się nam wszystkim, że nigdy się już nie rozstaniemy... W kilka tygodni później większość uczestników tego studencko-magisterskiego wesela rozjechała się po całej Polsce. Anki — choć dotąd mieszka w Lublinie — nie zobaczyłem nigdy więcej, a ze Zdzichem spotkałem się dopiero siedem lat później, przy redakcyjnym, „kamenowym" biurku.

Wtedy, w 1963 r., Jastrzębski po raz pierwszy chyba w życiu osiągnął stopień względnej stabilizacji: do tej pory pracował jako bibliotekarz lub kontraktowy nauczyciel w lubelskich liceach, chcąc dysponować wolnym czasem na badania literackie i pisanie. Miał poza tym sztywny kręgosłup, nie lubił się przyginać, nie padał plackiem przed „autorytetami", więc na „młodego pracownika nauki", początkującego asystentą „przy katedrze", nie bardzo się nadawał. Obarczony powiększającą się rodziną, musiał znaleźć jakieś optymalne wyjście z sytuacji. Tym wyjściem wydawała się spokojna, ale zarazem odpowiedzialna praca w Instytucie Medycyny Pracy i Higieny Wsi, a zarazem — bardziej chyba ambicjonalnie go satysfakcjonujący — półetat kierownika działu literackiego w „Kamenie" czterech województw wschodnich.

Szkoda, że tych dwóch zajęć nie dało się, w ostateczności, pogodzić. Ówczesne kierownictwo redakcji wymagało od Jastrzębskiego przede wszystkim przestrzegania „godzin urzędowania" — co było zupełnie nie do pogodzenia z urzędniczym trochę systemem pracy w instytucie. A poza tym wkrótce okazało się, że „kierownictwo działu" jest fikcją; Zdzisiek był z dnia na dzień coraz bardziej obarczany kilogramami nadchodzących do redakcji maszynopisów „do adiustacji". Z jego zdaniem, jako krytyka, liczono się coraz mniej. Z natury milczący, nie zwierzał się nikomu ze swoich redakcyjnych problemów i zawodów. Jednak pewnego jesiennego wieczoru, gdy siedzieliśmy już tylko we dwóch w „starej redakcji", przy ulicy Granicznej 7, ja — jak zwykle przy stole pod piecem, on — przy biurku księgowego pod oknem, podniósł nagle głowę znad maszynopisów i swoim spokojnym, trochę flegmatycznym tonem, powiedział do mnie: „Na adiustatora się nie godziłem. Nie mam tutaj co robić. Odchodzę z redakcji". Następnego dnia rano złożył wymówienie.

Współpracy z redakcją jednak nie przerwał. Ale było to już tylko pisanie „z wolnej stopy". O ile wiem, nigdy się już potem z żadną redakcją nie związał na stałe. Zresztą w 1966 r. zaproponowano mu stanowisko adiunkta w Katedrze Historii Literatury Polskiej UMCS, gdzie prowadził zajęcia ze wstępu do nauki o literaturze.

W rok później otrzymał stypendium habilitacyjne w związku z przygotowywaną rozprawą „Humor w okresie wojny (formy i funkcje)", która ostatecznie nigdy nie została doprowadzona — ze względu na śmierć autora — do końca. W tym samym, 1967 r., ukazała się pierwsza książka Zdzisława Jastrzębskiego — „Bez wieńca i togi. Szkice krytyczne", w r. 1969 — „Literatura pokolenia wojennego wobec dwudziestolecia". Poza tym opracował i opatrzył wstępem szereg pozycji książkowych takich, jak m.in.: „Wspomnienia o Bolesławie Leśmianie", „Utwory wybrane" Tadeusza Gajcego, „Aby podnieść różę... Poezje i dramat" Andrzeja Trzebińskiego, „Konspiracyjna publicystyka literacka 1940—1944. Antologia".

Dopiero w wieku niespełna lat czterdziestu, on, autor tych wartościowych prac krytycznych, esejów i książek, został przyjęty w poczet Związku Literatów Polskich. Nie układało mu się także łatwo, w późniejszych latach, życie osobiste. I samo zakończenie życia było nietypowe. Znaleziono go w kilka dni po śmierci w jego własnym mieszkaniu. Uważa się, że przyczyną zgonu był nagły atak serca.

W szkicu o twórczości Zdzisława Jastrzębskiego — „Krytyk w głębokość sumienia schodzący" Ewa Wiszniowska przytacza cytat z listu Norwida do Władysława Czartoryskiego, który powtarza się kilkakrotnie w pracach zmarłego przed dziesięciu laty krytyka: „Ocena czy jest sztuką? czy umiejętnością? — nie wiem — to pewne jednakże, iż ocena jest tak niezmiernie ważną w życiu ludów, iż gdyby jaki naród tę tylko jedną rzecz posunął do wszechstronnego udoskonalenia, już byłby bezpiecznym — i pozostałoby mu tylko bezpieczeństwo zyskane utrzymać."

* * *

W kilka lat po odejściu z „Kameny" Zdzicha Jastrzębskiego pojawił się wśród pracowników redakcji jego młodszy kolega ze studiów polonistycznych na KUL-u, całkowite przeciwstawienie tamtego chłodnego, skupionego intelektualisty — Romuald Wiśniewski. Za czasów studenckich zwany „Lolkiem", a teraz pisujący w miejscowej gazecie partyjnej felietony pod godnym pseudonimem Anzelma Borkowskiego, emerytowanego majora WP.

Romcio tak potrafił podchwycić kostyczno-ględząco-„zaangażowany" język typowy dla starszych panów chodzących do końca życia sprężystym krokiem i zachowujących charakterystyczną sylwetkę, że prawie nikt — nawet spośród dziennikarzy — nie orientował się, że częste „interwencyjne" listy do redakcji wychodzą spod pióra zupełnie młodego człowieka.

Przede wszystkim jednak nasz kolega był „szalejącym reporterem" strzelającym do nieprawdopodobnych nieraz celów, a poza tym oryginałem i p o s t a c i ą jaką trudno już dzisiaj spotkać w dziennikarskim światku.

Wysoki, szczupły, dbający stale o sprawność fizyczną, co objawiało się m.in. w chodzeniu po lokalu redakcji na rękach, robieniu „wagi" na redakcyjnych biurkach lub zdejmowaniu z zawiasów ciężkich, redakcyjnych drzwi (które potem musiałem za niego niejeden raz zakładać), nikotynowy i alkoholowy abstynent — Romek cały czas był w ruchu. Albo gdzieś po coś pędził, albo się spóźniał z materiałem i wielkimi literami, na kolanie, smarował ostatnie akapity kolejnego niezwykłego reportażu, albo coś przekładał z miejsca na miejsce, albo — siedząc — trząsł kolanami. Sprawność fizyczną uzyskał Romek podobno głównie dzięki biegom przełajowym w towarzystwie swojego psa-wilczura, który jednakowoż nie wytrzymał treningu i umarł na serce. Oraz — jak twierdził — jako uczestnik Brygad Służby Polsce w Gliwicach, gdzie w 1951 r., po zdaniu matury w lubelskim gimnazjum, piastował przez pewien czas stanowisko dowódcy drużyny a następnie — szefa hufca.

W tymże 1951 r. Romek Wiśniewski rozpoczął pracę w redakcji „Życia Lubelskiego", będąc jednocześnie korespondentem ogólnopolskiego „Sportu". Rozpoczął również studia polonistyczne na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Wkrótce zasłynął tam jako jeden z czołowych talentów w grze w cymbergaja. Niestety, rozstanie się, po pewnym czasie, ze studiami, które przeszkadzały mu w karierze dziennikarskiej, otóż to rozstanie, przekreśliło możliwości zrobienia przez Romka kariery w tym sporcie. Romek notabene zachował na zawsze namiętność do cymbergaja. Jeszcze w piętnaście lat później, po przyjściu do „Kameny", próbował nas skłonić do treningów, z wykorzystaniem trzech monet i dwóch grzebieni... Ale nic z tego nie wyszło. Po pierwsze — spotkał się z całkowitym brakiem zainteresowania wśród potencjalnych zawodników, a po drugie — sekretarz redakcji, Jurek Dostatni, robił piekielne awantury o rysowanie na blatach biurek „boisk futbolowych"...

Ubierał się Romek zazwyczaj nobliwie: garnitur, krawat, kalosze, czarny parasol zimą i latem, jasnoszara samodziałowa „dyplomatka" z aksamitnym czarnym kołnierzem. Najlepiej — jeżeli były to rzeczy z p r z e c e n y bo przeceną się pasjonował i znał wszystkie sklepy z tej branży w całym regionie. Poza tym miał zwyczaj chodzenia, raz na miesiąc, do dermatologa w celu przebadania się. Nawet w okresach erotycznej posuchy nie odstępował od tej zasady. A kiedy mówiliśmy, że przecież to bez sensu, odpowiadał: „Dobrze, dobrze! A ja czytałem gdzieś, że nawet w publicznej toalecie można się zarazić!!!"

Co pewien czas doznawał Romek nagłych olśnień: oto, kupiwszy wyjątkowo tanio dubeltówkę z przeceny, postanowił zostać myśliwym! Chociaż, niejeden raz, wybierając się na polowanie, zmieniał nagle zamiar. Kiedyś spotkałem go na ulicy Okopowej całego w dwururkach, trokach, polowych torbach i plecakach: — Co, wybierasz się na polowanie? — zagadnąłem dość głupio, bo to przecież było oczywiste. — A, nie — odpowiedział. — Idę właśnie do okulisty.

Do strzelania miał lekką rękę. Nie wiem, jak tam było w lasach lub na polach, bo na łowy z nim nie chodziłem, ale kiedyś zrobił Sodomę i Gomorę w redakcji „Kuriera Lubelskiego". Otóż Romek został nagle powołany na przeszkolenie wojskowe i równie nagle pojawił się w pomieszczeniach lubelskiej popołudniówki ubrany w zieloną panterkę i z ogromnym pistoletem u boku. Wpakował się do gabinetu zastępcy naczelnego, Jerzego Turżańskiego, który w charakterystyczny dla siebie sposób, cedząc wolno przez zęby każde słowo, zaczął poddawać w wątpliwość umiejętności Romka w posługiwaniu się krótką bronią palną:

— T-y-y-y byś n-a-w-e-t R-o-o-m-e-k od-bez-pie-czyć tego k-o-o-o-p-y-t-a nie umi-a-a-ał...

— Cooo???! — wrzasnął dotknięty do żywego Wiśniewski — TO ZARAZ PAN, PANIE JURKU, ZOBACZY!!!

I wywalił w sufit siedem pocisków, równo jeden przy drugim, a Jurek Turżański zrobił błyskawiczne „lotnik kryj się" za biurkiem, a potem wyczołgał się przepisowo na korytarz krzycząc: „Wariat! Wariat!!!"

W wieku niespełna czterdziestu lat Romek postanowił zostać płetwonurkiem. Zapisał się do istniejącego w Lublinie klubu „Murena" i trenował, trzeba przyznać, tak gorliwie, że nawet pojechał na zawody międzynarodowe do Genewy. Nie wiadomo, co by było dalej, ale zdaje się, że nić podwodnych sukcesów przerwała kolejna narzeczona Romualda, którą — jak wszystkie poprzednie — traktował „jako doskonały materiał na żonę". Do tej pory, nawiasem mówiąc, pozostał kawalerem.

Jako jeden z pierwszych lubelskich dziennikarzy Romek poznał uroki turystyki zagranicznej. Po kilku takich podróżach do Jugosławii, Bułgarii i Rumunii zaczęto go uważać (to były, proszę pamiętać, wczesne lata sześćdziesiąte!) za bywałego globtrotera, który doradzi i pomoże w potrzebie

Kiedyś jechał do Bułgarii tym samym pociągiem z koleżanką ze „Sztandaru Ludu", Danusią Grzelakową. Opiekuńczy i szarmancki podczas podróży, postanowił jej w końcu zrobić szatański kawał.

Na dworcu w Bukareszcie pociąg z Warszawy do Warny ma dłuższy postój. Romek oświadczył, że idzie się umyć do dworcowej toalety i wyszedł tylko w spodenkach kąpielowych, z ręcznikiem i mydłem w ręku. Potem schował się za ostatnim wagonem i zaśmiewając się w duchu, czekał co to będzie, jak pociąg ruszy, a wyglądająca nerwowo przez okno jego koleżanka wciąż nie będzie widziała go na peronie. Tymczasem on, uczepiony buforów ostatniego wagonu, dopiero za stacją wejdzie do środka... Czekał, czekał... pociąg zagwizdał, zaturkotał, ale wagon ani drgnął! Potem okazało się, że... połowa składu pociągu została odczepiona i pozostała... na dworcu! Do Warny dojechał w dwa dni później, kombinowanymi pociągami, w samych kąpielówkach, ku uciesze współpasażerów i przy troskliwej opiece celników, kolejarzy i służby granicznej. Był bądź co bądź, pasażerem bez paszportu.

Powetował sobie ów dyshonor następnego roku. Wybrał się wtedy do jednego z krajów zaprzyjaźnionych, który... zaordynował tego lata zakaz wjazdu w swoje granice wszystkim posiadaczom długich włosów, bród, oraz bokobrodów. W ą s y, im bardziej sumiaste, tym ż y c z l i w i e j były widziane. Inny rodzaj zarostu — nie. Na wjazdowej stacji granicznej stawiano turystom ultimatum: aut — aut! Nie posiadającym własnych nożyczek i brzytew świadczył usługi miejscowy, stacyjny balwierz. Romek był posiadaczem okazałych baczków i dlatego przed nim również stanął szekspirowski dylemat: być albo nie być...

Jednakowoż miał właśnie na sobie drelichowy garnitur koloru khaki przypominający trochę krojem mundur wojskowy, a na głowie zieloną czapeczkę przywiezioną z Międzynarodowego Festiwalu Piosenki w Sopocie, w którą, nad daszkiem, wpięty był barwny metalowy znaczek festiwalowy. Otóż Romcio nachylił się konfidencjonalnie do osobnika sprawdzającego wkładki paszportowe, pokazał znacząco palcem na czapeczkę i znaczek, i powiedział szeptem: „Mission speciale...!" „AAA!" — pokiwał głową ze zrozumieniem urzędnik. I... bez dyskusji przybił we wkładce pieczątkę z napisem: „WJAZD"! Obyło się bez fryzjera.

Przy tym wszystkim był Romek typem prawdziwego, rasowego reportażysty, dziennikarza „czującego temat" i umiejącego sprzedać zebrany materiał w sposób dynamiczny i dramatyczny. Niezwykłość tematów, lub niecodzienny sposób zbierania materiału czy zadawania pytań, podnosiły tylko walor i urok jego tekstów. Romek np. wchodził do celi przestępcy, który już od dwudziestu lat świata Bożego nie widział, i pytał go: „Co nowego słychać, panie X?" I dostawał... porcję ciekawych informacji na temat życia więziennego. Albo wspinał się na dach za kominiarzem: „Czy pan się nie boi?" — wołał do balansującego na krawędzi komina mistrza. I, o dziwo, właśnie to naiwne pytanie wyzwalało w jego interlokutorze chęć do długotrwałych zwierzeń. Albo — wykrywał podziemne bimbrownie nad samym Bugiem. Albo — w Hrubieszowie dostał się do omijanej przez wszystkich piwnicy, w której mieszkała od wielu lat stara, zdziwaczała kobieta, z kilkudziesięcioma psami, które nigdy nie widziały światła dziennego. Te reporterskie talenty Romka Wiśniewskiego chwalił bardzo Melchior Wańkowicz.

Niestety, Romka poniosło z „Kameny" w świat. W 1972 r. Józef Barecki zaproponował mu pracę w „Trybunie Ludu" w Warszawie. Jako wysłannik tego pisma wyjeżdżał Romek kilka razy do Wietnamu. Potem przeszedł do redakcji „Razem", a ostatnio jest reporterem i publicystą w „Prawie i Życiu".

Bez Romka bardziej szaro zrobiło się w „Kamenie" i posmutniał bez niego Lublin.

Czasem jednak się widujemy. I zawsze jest podobnie. Bo oto, ile razy spotka mnie Romek Wiśniewski na ulicy w Warszawie, Lublinie czy Krakowie, woła już z dzieka: „Czeeeść, kopę laaat! Co nowego w redakcji?"

I zaraz dodaje z troską: „Słuchaj: czy ty zdajesz sobie sprawę, że ty się z m a r n o w a ł e ś?! Piszesz c o r a z g o r z e j! CO SIĘ Z TOBĄ STAŁO???"

„Nie mam najmniejszego pojęcia, Romku" — odpowiadam niezmiennie.

Zapis genetyczny

Dokończenie ze str. 1

Z owianych legendą czasów, gdy rozwiała się woń prochu, pozostało: trochę dokumentów, reprodukcje sztabowych map, kilka medali, rozsypujący się na próchno żołnierski płaszcz. Jest to zawartość na ogół zamkniętej na kłódkę Izby Pamięci. Pozostało jeszcze koło Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Koło, lat temu parę dziarsko maszerujące, było ozdobą pochodów pierwszomajowych w powiatowym Lubsku. Dziś znacznie przerzedzone, coraz to większą cmentarną polać zajmujące, jest ono u progu likwidacji. Z braku członków... W Górzynie lista rolników jest mniejsza od listy rencistów. Krowy i konie liczyć można na palcach. Dzieci żołnierzy — rolników są technikami, nauczycielami, robotnikami, urzędnikami. A w sercu wioski stoi pięknie odmalowana budka telefoniczna. — Wrzuć monetę. Podnieś słuchawkę. „Hallo! Czy mówię z Łużyckim Kombinatem Rolnym?"

Dzierżąc automaty, przyjeżdżali nad Odrę na pancerzach czołgów. Drudzy, w podartych butach i wytartych portkach na dachach wagonów towarowych. Odyseusze z historycznej konieczności ciągnęli do nieznanej, nieprzeczuwanej. I tak ze wszystkich azymutów: z różnych stron Polski, Suchomieniewsko-Autamieniewskiego kraju, gdzie gwiazdy na niebie mają blask diamentów a Polarna stoi w zenicie, przyjeżdżali z Kuby, Francji, Szkocji, Belgii, przysiółków Rogacze i Petelewo wiecznie skłóconych, z powiatu Prużany. Rogaci Radkiewicze i petelewscy Weryszkowie, pogodzeni wspólnotą losu, wojenne topory zakopali we wsi Białków nad Odrą. Miarą ich awansu cywilizacyjnego był koń zastępujący krowę w polu. Nie ufali nawozom sztucznym. Nie wierzyli w ciągniki, może nawet dlatego, że nie można się do nich przytulić, wypłakać i poszeptać. W Słubicach przyklejono im etykiety konserwatystów, by nie powiedzieć reakcjonistów. Lata minęły zanim przekonali się do traktorów i nawozów — teraz narzekają, że ich mało. Ich synowie i córki — na ogół zatrudnieni w jednej z najnowocześniejszych ferm hodowlanych w Europie — w poszukiwaniu małych fiatów odwiedzają giełdy samochodowe. Bo dwuśladowiec a nie dyplom uniwersytecki jest świadectwem sukcesu.

I byli wreszcie ci, którzy trwali tu zawsze, korzeniami sięgający do najdalszej przeszłości, Mieszków i Kazimierzów Wielkich. Na Mazurach, w Opolskiem było ich wielu. Mniej znane są dzieje polskiej ludności rodzimej na środkowym Nadodrzu. O Krzysztofie Żegockim, staroście babimojskim, głośnym partyzancie, który jako pierwszy w Wielkopolsce podniósł szablę przeciw szwedzkiemu najeźdźcy, dzięki „Potopowi" wiedzą wszystkie polskie dzieci. Te same dzieci wiedzą, że pan Longinus Podbipięta, człek zamożny, ubierał się w kaftan ze świebodzińskiego sukna. Tylko nie wiedzą, że ów Świebodzin wrócił do Macierzy dopiero po II wojnie światowej i że dziś nie produkuje się w nim sukna, tylko urządzenia do obróbki termotechnicznej. A kto wie o kapitanie Więckowskim? Wykładał o nim Adam Mickiewicz na Sorbonie jako o jedynym polskim dowódcy, który walką protestował przeciw pierwszemu rozbiorowi Polski. Ostatnia walka z Prusakami odbyła się pod kościołem w Kargowie. Nie ocalał żaden żołnierz. Prusacy dobijali rannych.

Miłośnicy pamiętników wiedzą o tym, że Jan Chryzostom Pasek popasał w Sulęcinie, wiedzą też o tym — co wspomina Jędrzej Kitowicz — że milicjanci pilnujący rogatek miejskich we Wschowie, z nudów zapewne, skracali sobie dyżur robotą na drutach... I to wszystko jest historią zapisaną i odczytaną. Natomiast o chłopskich rodach, tych zakorzeniowych od Mieszka i Kazimierza napisano niewiele. Co najwyżej przy okazji ustalania list podatkowych parafii i klasztorów. Przyjmuje się a priori, że skoro pod Babimostem, w Pszczewie, Dąbrówce Wielkopolskiej, Starym i Nowym Kramsku, okolicach od stuleci należących do Niemiec, ludzie zachowują mowę, wiarę i obyczaj polski — to znaczy, że mamy do czynienia z dobrymi Polakami. Są oni moralnym uwierzytelnieniem naszego prawa do obecności nad Odrą i Nysą.

Tymczasem wiedzieć też trzeba, że trwanie przy polskości miało swoją określoną cenę. Zwłaszcza za Hitlera. Chłopskie rody Cichych i Budychów, spośród siebie wyłaniające przywódców, owych Polenkoenigen — królów polskich bez berła, miecza i korony, te rody płaciły. Do wsi przychodziły urny z prochami nadawane w urzędach pocztowych w Dachau, Oranienburg. Inni — przecież byli obywatelami III Rzeszy — ginęli w obcych mundurach za obcą, znienawidzoną sprawę. Docent Joachim Benyskiewicz, którego prapraprapradziadek w osiemnastym wieku był karczmarzem w Nowym Kramsku opowiada, że po raz ostatni widział swego ojca w niemieckim mundurze, w niemieckich koszarach. Ojciec szepnął synowi na pożegnanie: „Pamiętaj, że jesteś Polakiem! Polska przyjdzie! Bądź jej wierny!" Ojciec Joachima Benyskiewicza zginął w 1945 roku w obronie Torunia przed Armią Radziecką... W latach sześćdziesiątych odwiedził Zieloną Górę Otto von Bismarck — przywódca jednego z ziomkostw. Starszy, wytworny pan był ogromnie zdziwiony, gdy Joachim Benyskiewicz odrzucił szansę otrzymania jakiejś tam rekompensaty za śmierć ojca poległego za stare niemieckie miasto... Thorn, a jeszcze bardziej się zdziwił, gdy Benyskiewicz, jako urodzony na obszarze III Rzeszy odrzucił perspektywę emigracji, obywatelstwo i lukratywną posadę w Republice Federalnej Niemiec. Okazało się, że trudno jest kupić duszę Nowokramszczanina, nawet za dewizy...

Stare i Nowe Kramsko, Dąbrówka Wielkopolska, Babimost — miejscowości zamieszkiwane przez ludność rodzimą często odznaczone najwyższymi orderami Polski Ludowej, szanując swoją bohaterską przeszłość zapisują się we współczesności jej specyficznym alfabetem — gospodarnością, kalkulacją ekonomiczną. Stąd dzieci wyjeżdżają do miast tylko do szkół lub po naukę rzemiosła. Potem wracają, zakładają warsztaty lub prowadzą gospodarkę. Gospodarstwa są prowadzone znakomicie. Przez wiele lat były dla okolicznych rolników wzorem do naśladowania. Dziś wzór ten nieco zwietrzał, bo współcześni agronomowie wiedzą na ogół więcej.

Trzy składniki — olbrzymia masa ludności napływowej z różnych stron świata — z Poznańskiego, zza Buga, Lubelszczyzny, Argentyny i Walii, żołnierze idący nad Odrę z bronią i wreszcie ludność rodzima, stały się komponentami stopu zwanego społeczeństwem Polski Zachodniej. Dwa wielkie zjawiska społeczne — wędrówka Polaków na zachód i narodziny nowej społeczności stały się przedmiotem fascynacji historyków, socjologów, etnografów, polityków. Jedni socjologowie nazwali ów proces narodzin społeczeństwa integracją, drudzy narodzinami nowej kompozycji społecznej. Wydaje się, że szybkie powstanie tej kompozycji — przecież rzecz dotyczy jednego, dwu pokoleń — spowodowane zostało przekształceniami związanymi z budownictwem socjalistycznym, wspólnotą rodowodu — lepiszczem historii oraz wspólnotą losu, którego nie można było odmienić w żaden sposób. Był to heroizm chodzenia po błocie. Właśnie temu heroizmowi zawdzięczać należy, że poczdamskie proroctwo Churchilla o tym, że polska gęś zadławi się Śląskiem i Szczecinem stało się jedynie efekciarskim powiedzonkiem.

* * *

Cały świat wie o tragedii Hiroszimy. Bo obwieściła ona ludzkości nadejście nowej, dramatycznej epoki. Przywracając prastare piastowskie ziemie Polsce, spełniając akt dziejowej sprawiedliwości zlikwidowaliśmy bramę niemieckiego imperializmu na wschód, przyczółek osławionego „Drang nach Osten". Przywracając tę ziemię Polsce odkryliśmy, że Hitler budował na niej nie tylko zakłady zbrojeniowe, poligony, lotniska i koszary, budował również obozy koncentracyjne. Pierwszym obozem koncentracyjnym III Rzeszy był Słońsk. Więziono tam laureata nagrody Nobla, antyfaszystowskiego publicystę Karla von Ossietzkego. A potem zaczęliśmy liczyć te nasze Hiroszimy. I co wie o nich świat?

Gruzy Wrocławia, Głogowa, Kostrzyna, Szczecina, Kołobrzegu, Gdańska, Elbląga były ceną, jaką zapłacono za przekreślenie szans faszyzmu, którego intencją było przekształcenie świata w jeden Majdanek lub Oświęcim. Dziś te miasta rozkwitły. I gruzów już nie ma. Tylko gdzieniedzie, w niektórych miasteczkach, przeważnie w centrach miast są duże, nie zabudowane, czasem zagospodarowane zielenią place. Kiedyś stały na tych placach gotyckie kościoły i renesansowe ratusze. I jest o nich pamięć. Tylko?

Bolesław Drobner, pierwszy prezydent Wrocławia, uczony i działacz polityczny, w palącym się jeszcze mieście, mając kłopoty z usuwaniem gruzów, trupów i min, jako jedno z pierwszych, wydał polecenie o szczególnej ochronie księgozbiorów. Młody żołnierz polski, Michał Kaziow, który to polecenie wykonywał na Ostrowie Tumskim, nadepnął na minę. Stracił ręce i oczy. Ów żołnierz mieszkający na wsi pod Zieloną Górą — bez oczu i rąk ukończył szkołę średnią, potem uniwersytet, napisał pracę magisterską, napisał i obronił pracę doktorską. Został członkiem Związku Literatów Polskich. Jest wybitnym znawcą gatunku zwanego słuchowiskiem radiowym.

Gdy do starego, związanego z naszą historią Głogowa przyszli rodacy, znaleźli tylko kilka budynków jako tako nadających się po remoncie do zamieszkania. Tyle zostało po twierdzy bronionej przez esesowców. W morzu gruzów czołgi trasowały nowe ulice. Pierwsi Polacy, którzy zdecydowali się mieszkać w tym mieście, odkryli nowe zastosowanie młynka do kawy — mełli nim ziarno na mąkę. W Kostrzynie — mieście much utuczonych na trupach, w podziemnych kazamatach i fortach, wygniatano hitlerowców jeszcze w 1947 roku. Czekali na wybuch trzeciej wojny światowej... Piotr Zaremba, pierwszy prezydent Szczecina, w przyszłości uczony i międzynarodowy ekspert pomagający budować miasta w Chinach, Korei i Wietnamie, obejmując swój urząd jeszcze przed Umową Poczdamską, wiedział ponad wszelką wątpliwość, że Szczecin w granicach Polski będzie miastem wielkim, bo jest na wielkość skazany. Patrząc na chłopów zza Buga i na wielkopolskie pyry z zakasanymi rękawami porządkujące gruz na przyszłych Wałach Chrobrego, zadawał sobie jedynie pytanie — jaka wartość z tej mieszanki wyrośnie? Był optymistą. Liczył na instynkt Polaków.

* * *

Dziś stwierdzić można, że stare poręczne nazwy opuszczają potoczną polszczyznę. Nie mówimy już „Ziemie Odzyskane", nie mówimy „Ziemie Zachodnie i Północne" Nie mówimy nawet „Środkowe Nadodrze" Dla mieszkańców Lublina, Krakowa, Kielc komunikatywnie brzmi określenie — województwo gorzowskie, koszalińskie, tak jak komunikatywnie brzmi określenie — województwo kaliskie, leszczyńskie. Po prostu Polska zachodnia i północna stała się normalną, taką samą jak inne, częścią kraju. I jest to jeszcze jedna miara sukcesu.

Ryszard Rowiński

W LABIRYNTACH WSZECHŚWIATA (2)

Witold Wawrzonek

JEDNYM z miejsc, gdzie czas mógłby się skończyć, może być wnętrze tak zwanej „czarnej dziury" — zdumiewająco prostego obiektu, określanego tylko przez dwie fizyczne własności: masę i moment pędu.

Kiedy ciężka gwiazda o masie większej od trzech mas Słońca wypali się, i jeśli nazbyt wiele z jej materii nie ulatuje na zewnątrz — wówczas musi ona zakończyć swoją ewolucję katastroficzną zapaścią, gdyż ciśnienie wewnętrzne obiektu spadnie poniżej wartości koniecznej dla podtrzymania olbrzymiego ciężaru. Wielu fizyków sądzi, że gwiazda taka kontynuuje swe kurczenie bez ograniczeń, przy czym powierzchniowa siła przyciągania wzrasta, a przestrzeń otaczająca takie ciało niebieskie ulega coraz to większemu zakrzywieniu.

Jeżeli więc czasoprzestrzeń może być silnie odkształcona, to nasuwa się pytanie: czy istnieje granica takiego odkształcenia, po której przekroczeniu konstrukcja ewentualnie zostaje zniszczona?

Granicy takiej nie znamy. Sądzi się przecież, że ostatecznie w tym całym procesie osiągany jest punkt, w którym czasoprzestrzeń rozpada się, a czas ulega zatrzymaniu. Taka ewentualność zwana jest stanem krańcowym i stanowi czasowe extremum lub granicę czasu — pewien rodzaj skraju czasoprzestrzeni, poza którym pojęcie czasu traci sens.

Podobny los może spotkać cały Wszechświat, o ile zawiera on 100 razy więcej materii, niż obecnie stwierdzany. Gdyby tak było, to Kosmos — chociaż obecnie znajduje się w stanie ekspansji — nie oparłby się kolapsowi grawitacyjnemu; nadszedłby czas, kiedy rozszerzanie osiągnęłoby swoje maksimum i nastąpiłoby „ściskanie", prowadzące w konsekwencji do implozji.

Odwracając ten scenariusz otrzymujemy obraz kreacji: początek czasu w postaci gigantycznej eksplozji zwanej Wielkim Wybuchem (Big Bang), który — jak na to wskazuje wiele poszlak — nastąpił około 20 miliardów lat temu.

Istnienie początku i końca czasu nie musi bynajmniej prowadzić do wniosku, że występuje pierwszy i ostatni moment — coś, co tak długo dręczyło filozofów. Taka enigmatyczna możliwość pojawi się wtedy, kiedy przyjmiemy, że czas jest ciągły, czyli nieskończenie podzielny na dowolnie małe interwały. Jeżeli czas jest ciągły, to oczywiście każdą chwilę czasową można oznaczyć liczbą, stosując wszystkie ułamki w coraz to mniejszych przedziałach. Liczby mają wtedy tę właściwość, którą można zobrazować zadając następujące pytanie: jaka jest największa liczba mniejsza niż 3? Można powiedzieć, że 2,99 — jednak łatwo jest podać jeszcze większą liczbę, która wciąż będzie mniejsza od 3, a mianowicie — 2,99999. Powtarzając to rozumowanie stwierdzamy, że nie ma największej liczby mniejszej niż 3. Tak samo nie ma najmniejszej liczby większej niż zero. Jeśli więc Wszechświat zaczął się o godzinie zero, a zakończy się, powiedzmy, o trzeciej ostatniego dnia, to nie ma pierwszego momentu przed godziną zero, ani też ostatniego przed trzecią. Nadto zero i trzy — same nie stanowią pierwszego i ostatniego momentu, ponieważ nie są chwilami czasowymi, lecz wartościami krańcowymi.

Wielki Wybuch nie był przeto eksplozją w istniejącej uprzednio próżni, lecz autentyczną kreacją, w której rezultacie przestrzeń, czas, materia i energia zaczęły istnieć. Pytanie: co działo się przed Wielkim Wybuchem? — jest więc źle postawione, gdyż zakłada z góry istnienie czasu, który sam przecież ulega narodzinom i śmierci.

Jednym z powodów obecnej eksplozji teorii i odkryć astronomicznych jest wprowadzenie od czasów Hubley'a nowych oraz płodnych metod i technik podglądania Kosmosu: przede wszystkim 200-calowego teleskopu Hale'a na Mount Palomar, nowych teleskopów w Kitt Peak w Arizonie, balonów, samolotów, rakiet i systemów satelitarnych, które mogą badać promieniowanie zakrywane przez ziemską atmosferę.

Najbardziej jednak efektywnym wynalazkiem używanym przez współczesną astronomię okazał się radioteleskop. Dowiedzieliśmy się, że niebiosa „świecą" w częstotliwościach radiowych, podobnie jak w częstotliwościach optycznych, przy czym zestrojone radioteleskopy „widzą" nawet 1000 razy dokładniej od najlepszych teleskopów optycznych. Pozwala to na precyzyjną lokalizację radioźródeł, a dzięki temu i astronomowie optyczni mogą badać o wiele mniejsze powierzchnie na swych fotograficznych kliszach, poszukując optycznych odpowiedników radioźródeł.

W 1960 roku przy użyciu 200-calowego teleskopu Amerykanin Allan Sandage odkrył bardzo dziwny obiekt gwiazdopodobny: oprócz światła emitujący także fale radiowe. Pod każdym zresztą względem był on osobliwy: bardzo odległy, podobny do gwiazdy, silnie świecący radiowo (w przeciwieństwie do większości gwiazd), przedstawiał się zaskakującym widmem.

Nikt wtedy nie wiedział, jak to wyjaśnić, nikt jeszcze nie zdawał sobie sprawy, że w ręce nauki wpadła kosmiczna puszka Pandory. Tajemniczy punkt w niebiosach nazwano skrótem terminu Quasi Stellar Object (obiekt niby—gwiazdowy) — kwazarem...

Ślęcząc w ziemskim laboratorium nad zagadką widma optycznego kwazaru, Maarten Schmidt z Kalifornijskiego Instytutu Technologicznego w Pasadena doznał pewnego dnia, jak mówi, olśnienia i wyliczył, że prędkość ucieczki takiego obiektu wynosi 90 proc. prędkości światła! Stwierdzenie tego faktu było niewątpliwie „otwarciem umysłów uczonych na nowe możliwości tak egzotycznych obiektów kosmicznych".

Kwazary znajdują się na granicy obserwowanego horyzontu, a widać je z Ziemi dzięki ich olbrzymiej wydajności energetycznej. Jeżeli są to najbardziej odległe obiekty kosmiczne — to są one również najstarsze. Kwazar, z przesunięciem ku czerwieni 453 proc., reprezentowałby sobą stan Wszechświata sprzed z górą 13 miliardów lat, czyli około 6-7 miliardów lat po tym, kiedy Osobliwość eksplodowała w Wielkim Wybuchu. Kwazar, który zacząłby emitować światło w chwili Wielkiego Wybuchu, musiałby mieć oczywiście nieskończenie wielkie przesunięcie ku czerwieni.

Przypuszcza się, że w kwazarach widzimy jeden z najbardziej pierwotnych momentów kreacji, kiedy to po zlepieniu się gorącego gazu z Wielkiego Wybuchu zajaśniały pierwsze galaktyki [6]). Poza tymi — najbardziej chyba od nas odległymi obiektami — nie widać już zupełnie niczego...

Wyróżnione przez swą starożytność kwazary wcale i bynajmniej nie są najdziwniejsze spośród znanych nam dotąd obiektów kosmicznych!

Gdy w 1054 roku rozbłysła niespodziewanie niezwykle jasna gwiazda, nikt w Europie nie chciał narazić swojej nieśmiertelnej duszy i udokumentować, że oto dostrzegł coś przeczącego niezmiennej doskonałości niebios — gwiazdę świecącą w dzień. O tym wydarzeniu zachowały się... azjatyckie i egipskie zapiski.

W ciągu dnia gwiazda była widziana przez kilka tygodni, potem obserwowano ją nocami jeszcze przez kilka lat, wreszcie znikła.

Jeśli masywna gwiazda w czasie swej ewolucji osiągnie punkt, w którym wyczerpie własne paliwo jądrowe, może się zdarzyć, że jądro takiej gwiazdy ulegnie gwałtownej implozji, a jej zewnętrzne warstwy wyrzucone zostaną na zewnątrz. Opisany proces jest określany terminem „wybuchu Supernowej"... Energia wydzielona podczas takiej eksplozji jest wprost niepojęta, stanowi bowiem ekwiwalent jednoczesnego uwolnienia energii z około 10^{28} bomb wodorowych, o sile wybuchu 10 megaton każda! Przepotężna fala uderzeniowa rozchodząca się z epicentrum tego piekła niesie z olbrzymią szybkością szczątki ognistej materii.

Tego typu eksplozję zaobserwowali w roku 1954 chińscy astronomowie [7]).

Zapaść grawitacyjna Supernowej tworzy w końcu tak zwaną gwiazdę neutronową — mały, kilkunastokilometrowej średnicy obiekt, obracający się bardzo szybko wokół własnej osi. Drobiazg, ale ilość materii takiej gwiazdy, potrzebna do wypełnienia łyżeczki od herbaty, waży miliard ton! Upuszczona na Ziemię, przeszyłaby ją na wylot z łatwością, z jaką kamień przebija pajęczynę.

Obracająca się gwiazda wysyła w przestrzeń cykliczne porcje silnie skupionych fal elektromagnetycznych [8]); bardzo precyzyjny rytm emisji takiego promieniowania sprawił, że obiektom tym nadano nazwę „pulsarów". Istotne, że promieniowanie pulsara pochodzi nie z przemian jądrowych, lecz z energii rotacyjnej, z energii jego obrotu. Zdumiewające, że jeden z najmłodszych pulsarów wydaje w postaci promieniowania elektromagnetycznego tyle energii, co 100 000 Słońc!

Po upływie wielu milionów lat gwiazdy neutronowe zwalniają swój obrót na tyle, że nie jest on już w stanie dostarczać jakiejkolwiek energii na promieniowanie. Przypuszcza się, że we Wszechświecie może być bardzo dużo takich „martwych" pulsarów, które przestały już do nas „mrugać"...

Większość ciał niebieskich znajduje się w różnych stadiach narodzin, starzenia się i śmierci... Weźmy na przykład nasze Słońce — lokalną gwiazdę, o przeciętnych rozmiarach, liczącą sobie w połowie życia około 6 miliardów lat. Znajduje się ona wraz z przynależnym jej układem planetarnym w jednym z zewnętrznych ramion Naszej Galaktyki.

W wyniku syntezy termonuklearnej większość wodoru w jądrze gwiazdy podobnej do Słońca zamieni się po jakimś czasie w hel — i wtedy rozpocznie się synteza węgla z helu. Kolejne reakcje syntezy będą oczywiście zachodzić na tej drodze, aż wreszcie wytworzy się żelazo, które zajmuje środkowe miejsce w tabeli Mendelejewa i jest najbardziej stabilnym pierwiastkiem chemicznym. Reakcje termojądrowe nie mogą już zaprowadzić takiej gwiazdy dalej — kiedy ustaną, kiedy wewnętrzny nacisk wywołany produkcją i przepływem energii zaniknie, wówczas niezrównoważona siła grawitacyjna zaprowadzi gwiazdę do zapaści...

Po zapaści Słońce stanie się bardzo ekonomiczną energetycznie gwiazdą o rozmiarach porównywalnych z wielkością Ziemi. We wnętrzu takiego obiektu materia ściśnięta będzie do tego stopnia, że jej ilość o objętości tabletki od bólu głowy ważyłaby tyle, co karawana samochodów „fiat 126p". Biały Karzeł — bo tak właśnie nazwano owe gwiazdy — powstrzyma przed dalszą zapaścią ciśnienie gazu elektronów w jego wnętrzu. Do czasu, albowiem energia jednak uchodzi na zewnątrz i obiekt powoli stygnie, aż przemieni się ostatecznie w tak zwanego Czarnego Karła — kawał jałowej, wypalonej na popiół, zdegenerowanej materii, trzymającej się na wieki przeznaczonych jej torów...

(cdn.)

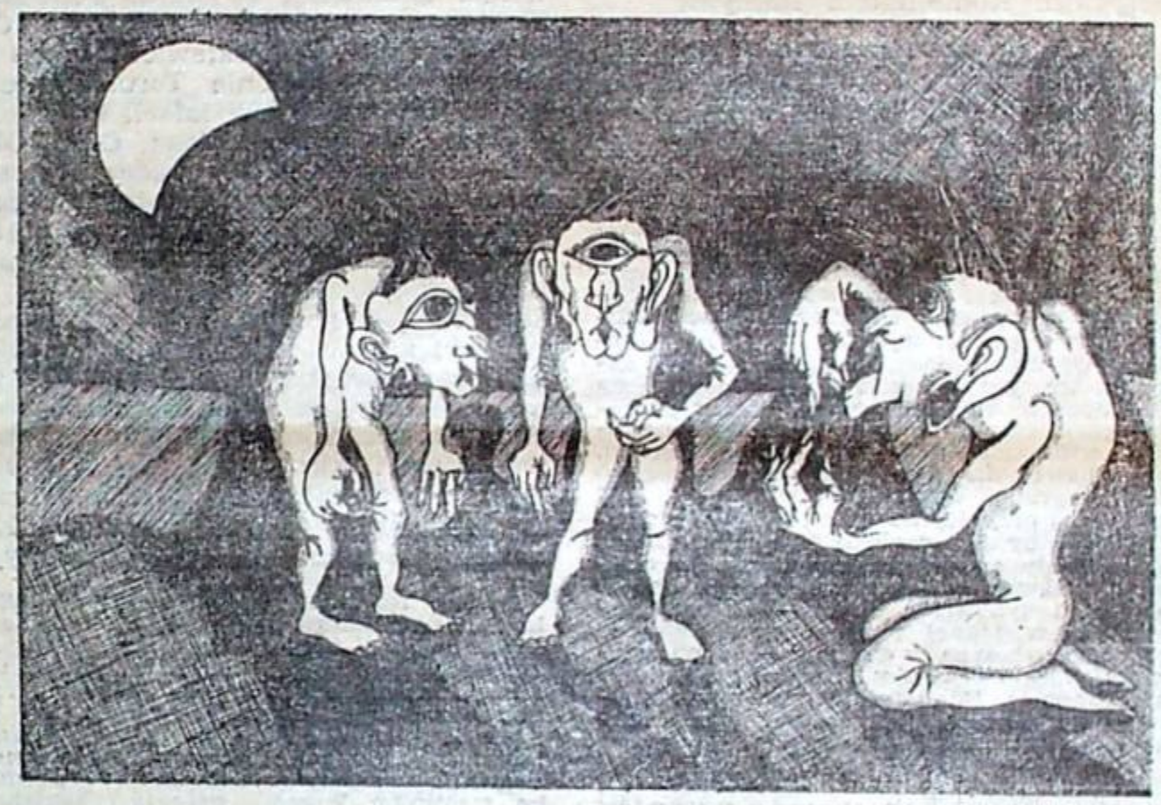

Rys. Mariusz Rybicki

[6]) Wymyślono wszelkie możliwe rodzaje hipotez usiłujących tłumaczyć przyczyny niezwykle wielkiej wydajności energetycznej kwazarów. Większość z nich mówi, że są to tak jasne jądra protogalaktyk, że cała galaktyka ginie w ich blasku. Mówi się również o tym, że mogą to być ciągłe wybuchy Supernowych, lub nawet zapaść całej galaktyki w siebie. Wszystkie te hipotezy są raczej sprawą wiary niż nauki.

[7]) Żagiel, Mgławica Welonu i Mgławica Kraba — to właśnie rozległe szczątki Supernowych. Przypuszcza się, że ciężkie pierwiastki wytwarzane w ekstremalnych warunkach takich eksplozji mogą z czasem stanowić budulec nawet takich jak nasza planet.

[8]) Bardzo precyzyjna cykliczność emisji takich pulsów była kiedyś powodem poważnie rozważanej hipotezy: że owe pulsy mogą być celowo emitowanymi przez supercywilizacje galaktyczne inteligentnymi sygnałami.

JA SAM

Fragmenty autobiografii

Dokończenie ze str. 3

Żółta bluza

Garniturów nie miałem nigdy. Miałem dwie bluzy — obmierzłego wyglądu. Wypróbowany sposób — przyozdobić się krawatem. Nie ma pieniędzy. Wziąłem od siostry kawałek żółtej wstążki. Zawiązałem na szyi. Furora. A więc, najbardziej rzucający się w oczy i najpiękniejszy jest w człowieku — krawat. Jasne — że jak powiększę krawat, to zwiększy się i furora. Ponieważ jednak rozmiary krawatów są ograniczone, wziąłem się na sposób: zrobiłem krawatową koszulę i koszulowy krawat.

Wrażenie niesłychane.

Oczywiście

Generalicja sztuki oburzyła się. Książę Lwow *. Dyrektor Szkoły. Kazał przerwać krytykę i agitację. Odmówiliśmy.

Rada „artystyczna" wyrzuciła nas z uczelni.

Wesoły rok

Jeździliśmy po Rosji. Wieczory. Odczyty...

Wydawcy nas nie brali. Kapitalistyczny nos wietrzył w nas element wybuchowy. Ode mnie nie kupili ani jednej linijki...

Okres ten zamknęła tragedia „Włodzimierz Majakowski". Wystawiona w Petersburgu. Lunapark. Wygwizdali ją do suchej nitki.

Początek roku 14

Czuję mistrzostwo. Potrafię opanować temat. Całkowicie. Stawiam problem tematu. Rewolucyjnego. Myślę nad „Obłokiem w spodniach".

Wojna

Przyjąłem ze wzburzeniem. Początkowo tylko od strony dekoracyjnej, hałaśliwej. Plakaty na zamówienie i oczywiście całkowicie wojenne. Potem wiersz „Wojna wypowiedziana".

Sierpień

Pierwsza bitwa. Okropność wojny ukazała się w całej pełni. Wojna jest wstrętna. Tyły jeszcze wstrętniejsze. Żeby mówić o wojnie — trzeba ją widzieć. Poszedłem zaciągnąć się jako ochotnik. Nie przyjęli. Z powodu nieprawomyślności.

I pułkownik Modl miał przynajmniej jeden dobry pomysł.

Zima

Wstręt i nienawiść do wojny. „Ach, zamknijcie, zamknijcie oczy gazet" i inne.

Zainteresowanie sztuką całkowicie wygasło.

Maj

Wygrałem 65 rubli. Wyjechałem do Finlandii. Kuokkala *.

Najradośniejsza data

Lipiec 915 roku. Poznałem L. J. i O. M. Brików *.

Wezwanie

Zgolono mi łeb. Teraz nie chcę iść na front. Udaję kreślarza. Po nocach uczę się u jakiegoś inżyniera kreślić auta. Z drukowaniem jeszcze gorzej. Żołnierzom nie wolno. Tylko Brik mnie pociesza. Kupuje wszystkie moje wiersze po 50 kopiejek za linijkę. Wydrukował „Flet kręgosłupa" i „Obłok". Obłok wyszedł pierzasty. Cenzura w niego dmuchała. Z sześć stron samych kropek.

Od tej pory nienawidzę kropek. Przecinków też.

Żołnierka

Parszywy okres. Rysuję (wykręcam się) portrety naczelników. W głowie rozwija mi się „Wojna i świat", w sercu — „Człowiek".

Rok 16

Ukończyłem „Wojnę i świat". Trochę później — „Człowieka". Drukuję fragmenty w „Letopisi" *.

26 lutego 17 roku

Poszedłem z automobilami do Dumy *. Wlazłem do gabinetu Rodzianki *. Obejrzałem Milukowa *. Milczy. Ale mnie nie wiadomo czemu się wydaje, że on się jąka. Po godzinie znudziło mi się. Wyszedłem. Przejąłem na kilka dni komendę nad Szkołą Automobilową. Guczkowieje *. Stare oficerstwo po staremu chodzi sobie po Dumie. Dla mnie jest jasne, że po tym nieuchronnie nastąpią zaraz socjaliści. Bolszewicy. Już w pierwszych dniach rewolucji piszę kronikę poetycką „Rewolucja". Wygłaszam odczyty — „Bolszewicy sztuki".

Sierpień

Rosja pomału się odkiereńszcza *. Stracili szacunek. Odchodzę z „Nowej żyzni" *. Pojawia się pomysł „Misterium buffo".

Październik

Przyjmować czy nie przyjmować? Takie pytanie dla mnie (i dla innych moskwiczan-futurystów) nie istniało. Moja rewolucja. Poszedłem do Smolnego. Pracowałem. Robiłem wszystko, co się trafiło. Zaczynają się posiedzenia.

Styczeń

Pojechałem do Moskwy. Występuję. W nocy „Kawiarnia poetów" *. w Nastasjińskim. Rewolucyjna babcia obecnych poetyckich kafejek — saloników. Piszę scenariusze. Gram. Rysuję plakaty filmowe. Czerwiec. Znów Petersburg.

25 października 18 roku

Ukończyłem „Misterium buffo". Czytałem. Dużo się o tym mówi. Wystawił Meyerhold * z Malewiczem *...

Rok 19

Jeżdżę z „Misterium" i innymi rzeczami moimi i towarzyszy po fabrykach. Radosne przyjęcie. W rejonie wyborskim powstaje komfut *, wydajemy „Iskusstwo Kommuny" *. Akademie trzeszczą. Na wiosnę przenoszę się do Moskwy. Po głowie chodzi mi „150 000 000". Wstąpiłem do agitacji ROSTA *.

Rok 20

Ukończyłem „Sto pięćdziesiąt milionów". Drukuję bez nazwiska. Chcę, żeby każdy dopisywał i ulepszał. Nie robili tego, ale nazwisko znali wszyscy. Wszystko jedno. Drukuję z nazwiskiem.

Aleksander Rodczenko. Portret Majakowskiego. Sylwetka.

Dni i noce ROSTA. Atakują rozmaite Denikiny *, Piszę i rysuję. Zrobiłem ze trzy tysiące plakatów i z sześć tysięcy podpisów.

Rok 23

Organizujemy „Lef" *. „Lef" to ogarnięcie wielkiej tematyki socjalnej wszytkimi narzędziami futuryzmu. To określenie oczywiście nie wyczerpuje zagadnienia — zainteresowanych odsyłam do N°N°. Zwarli szeregi: Brik, Asiejew *, Kuszner *, Arwatow * Trietiakow *, Rodczenko *, Ławiński *.

Napisałem „O tym". Według motywów osobistych o życiu codziennym. Zacząłem obmyślać poemat „Lenin".

Rok 24

„Pomnik robotników Kurska". Liczne odczyty po ZSRR o „Lefie", „Jubileuszowe" — Puszkinowi. I wiersze tego typu — cykl. Podróże: Tyflis, Jałta — Sewastopol. „Tamara i Demon" itd. Ukończyłem poemat „Lenin". Czytałem go na wielu robotniczych zebraniach. Bałem się bardzo tego poematu, jako że tu łatwo można było się zniżyć do zwykłej politycznej relacji. Reakcja widowni robotniczej ucieszyła mnie i utwierdziła w przekonaniu, że poemat jest potrzebny. Wiele jeżdżę za granicę.

Rok 25

Napisałem poemat agitacyjny „Latający proletariusz" i zbiorek wierszy agitacyjnych „Przejdź się sam po niebiosach".

Jadę dookoła świata. Początek tej podróży to ostatni poemat (z oddzielnych wierszy) na temat „Paryż"... Chcę i przejdę z wierszy na prozę. W tym roku powinienem zakończyć pierwszą powieść.

„Dookoła" się nie udało. Po pierwsze, okradli mnie w Paryżu, po drugie, po półrocznym jeżdżeniu jak strzała pomknąłem do ZSRR. Nawet do San Francisco (zapraszano mnie z odczytem) nie pojechałem. Zjeździłem Meksyk, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej i kawałki Francji i Hiszpanii. Rezultat — książki: publicystyka — proza „Moje odkrycie Ameryki" i wiersze — „Hiszpania", „Ocean Atlantycki", „Hawana", „Meksyk", „Ameryka". [...]

Rok 1926

W pracy świadomie przestawiam się na gazeciarza. Felieton, hasło. Poeci pomstują — ale sami nie potrafią po dziennikarsku, drukują się głównie w nieodpowiedzialnych dodatkach. A mnie śmiech ogarnia, gdy patrzę na ich liryczne bzdury, tak łatwo bowiem to pisać i nikogo prócz małżonki to nie interesuje.

Piszę w „Izwiestiach", w gazetach „Trud", „Raboczaja Moskwa", „Zaria Wostoka", „Bakinskij raboczij" i innych.

Druga praca — kontynuuję przerwane tradycje trubadurów i minstreli. Jeżdżę po różnych miastach i mówię wiersze. Nowoczerkask, Winnica, Charkow, Paryż, Rostow, Tyflis, Berlin, Kazań, Swierdłowsk, Tuła, Praga, Leningrad, Moskwa, Woroneż, Jałta, Eupatoria, Wiatka, Ufa itd., itd., itd.

Rok 1927

Odbudowuję (była próba „zlikwidowania") „Lef", już „Nowy" *. Główna zasada: przeciw wymysłowi, estetyzacji i psychologizowaniu sztuką — za agitacją, za kwalifikowaną publicystyką i kroniką. Pracuję głównie w „Komsomolskiej Prawdzie" i dodatkowo nad poematem „Dobrze!". [...]

Rok 1928

Piszę poemat „Źle". Sztukę i moją biografię literacką. Wiele osób mówiło: „Pańska autobiografia jest niezbyt poważna". Słusznie. Jeszcze się nie zakademiłem i nie przywykłem niańczyć się ze swoją osobą, a i moja praca interesuje mnie tylko o tyle, o ile jest wesoła. Wzloty i upadki wielu literatur, symboliści, realiści itd., nasza walka z nimi — wszystko to, co odbywało się na moich oczach, to część naszej bardzo istotnej historii. To aż się prosi, żeby o tym napisać. I napiszę.

Włodzimierz Majakowski

Przełożyła:
Ewa Rojewska-Olejarczuk
„Literatura Radziecka"

---

* nieprzetłumaczalne: głaz (ros.) — oko
* nieprzetłumaczalna gra słów: Burluk, burlaszczij (ros.) — kipiący
* „Buriewiestnik" („Zwiastun burzy") — ówczesne wydawnictwo drukujące literaturę socjaldemokratyczną.
* Rubakin Mikołaj (1862—1946) — pisarz i bibliograf.
* Kandełaki Wasyl (1883—1938) — działacz partyjny i naukowiec, napisał wspomnienia o spotkaniach z Majakowskim w latach 1906—1910.
* Bem Elżbieta (1843—1914) — modna malarka-akwarelistka, pracowała w „stylu rosyjskim".
* Kirillo Włodzimierz (1889—1943) — poeta.
* Gruziny — dzielnica moskiewska.
* Kriesty — więzienie.
* Stroganowska Szkoła. Szkoła Przemysłu Artystycznego im. Stroganowa — wyższa uczelnia założona w Moskwie w 1825 r. przez hrabiego Stroganowa.
* Żukowski Stanisław (1873—1944) — malarz. Majakowski uczył się u niego malarstwa przez cztery miesiące 1910 r.
* Kiełin Piotr (1877—1946) — malarz, nauczyciel Majakowskiego w latach 1910—1911.
* Czorny Sasza (pseudonim Aleksandra Glückberga, 1880—1932) — poeta-satyryk.
* Łarionow Michał (1881—1964) — malarz futurysta.
* Maszkow Ilja (1881—1944) — malarz, członek grupy „Bubnowyj walet".
* Burluk Dawid (1882—1967) — poeta i malarz, jeden z pierwszych futurystów rosyjskich, przyjaciel Majakowskiego.
* Chlebnikow Wielemir (pseudonim Wiktora Chlebnikowa, 1885—1922) — epik, liryk, dramaturg, jeden z twórców futuryzmu rosyjskiego.
* Kruczenych Aleksy (1886—1968) — kubofuturysta „kruczenychowskie piekło" — aluzja do poematu A. Kruczenycha i W. Chlebnikowa „Zabawa w piekle".
* „Bubnowyj walet" („Walet karowy", 1909—1926) — ugrupowanie artystyczne, skupiające awangardowych malarzy i rzeźbiarzy.
* Lwow Georgij (1861—1925) — członek partii kadetów, premier Rządu Tymczasowego, inicjator krwawej rozprawy z robotnikami w dniach lipcowych 1917 r.
* Kuokkala — miejscowość nad Zatoką Fińską.
* Brikowie — zaprzyjaźniona z Majakowskim para małżeńska: Lila Brik (1891—1979); Osip Brik (1888—1945) — pisarz, literaturoznawca, współredaktor pisma „Lef".
* „Letopis" — miesięcznik założony przez Gorkiego w 1915 r.
* Duma (Gosudarstwiennaja Duma) — organ ustawodawczy w Rosji, powołany przez rząd carski w latach rewolucji 1905—1907.
* Rodzianko Michał (1859—1923) — przewodniczący III i IV Dumy, minister w Rządzie Tymczasowym Kiereńskiego.
* Milukow Paweł (1859—1943) — przywódca burżuazyjnej partii kadetów, działacz Dumy, minister spraw zagranicznych w Rządzie Tymczasowym.
* Guczkowieje — od nazwiska Aleksandra Guczkowa (1862—1936), wielkiego przemysłowca moskiewskiego, ministra wojny i marynarki w Rządzie Tymczasowym.
* Odkiereńszcza — od nazwiska Aleksandra Kiereńskiego (1881—1970), premiera Rządu Tymczasowego w 1917 r.
* „Nowaja żyzń" — mienszewicka gazeta, wychodziła od kwietnia 1917 r.
* „Kawiarnia poetów" — została zorganizowana przez D. Buriuka i W. Kamieńskiego jesienią 1917 r. i prosperowała do kwietnia 1918 r.
* Meyerhold Wsiewołod (1874—1942) — artysta i reżyser, reformator w dziedzinie inscenizacji i sztuki aktorskiej.
* Malewicz Kazimierz (1878—1935) — jeden z pierwszych rosyjskich kubofuturystów, twórca teorii suprematyzmu w malarstwie.
* Komfut — organizacja literacka „komunistów-futurystów" w Piotrogrodzie (1919).
* „Iskusstwo Kommuny" — tygodnik, ukazywał się w Piotrogrodzie od grudnia 1918 roku do marca 1919 przy udziale Majakowskiego oraz byłych członków grupy „Bubnowyj walet".
* ROSTA — Rosyjska Agencja Telegraficzna; „Okna ROSTA", „Okna satyry ROSTA" — satyryczne plakaty umieszczane w wystawach sklepów.
* Denikin Antoni (1872—1947) — generał rosyjski, dowódca wojsk białogwardyjskich na południu Rosji, jeden z organizatorów kontrrewolucji 1918—1920.
* „Lef" — czasopismo „Lewyj front iskusstwa" (1923—1925), które redagował Majakowski.
* Asiejew Mikołaj (1896—1960) — poeta, przyjaciel Majakowskiego, autor wielu artykułów i wspomnień o nim.
* Kuszner Borys (1888—1937) — pisarz.
* Arwatow Borys (1889—1963) — literaturoznawca i historyk sztuki, teoretyk „Lefu".
* Trietiakow Sergiusz (1892—1939) — poeta, dramaturg, krytyk, teoretyk „Lefu".
* Rodczenko Aleksander (1891—1956) — malarz i fotograf, należał do „Lefu", bliski przyjaciel Majakowskiego.
* Ławiński Antoni (ur. 1894 r.) — malarz i scenograf.
* „Nowyj lef" — pismo, które ukazywało się w latach 1927—1928.

Autograf Włodzimierza Majakowskiego z karykaturą Kornieja Czukowskiego. Moskwa 1915. Repr. W. Stępień

SZANSA

Andrzej Albigowski

PRZESZŁO dziesięć lat temu, w dobie dynamicznego rozwoju Biłgoraja (a rosło w tym czasie to miasto jak na drożdżach), powstała koncepcja budowy placówki wychowawczej dla dzieci pozbawionych opieki rodzicielskiej: narodziła się myśl, by zamiast tradycyjnego domu dziecka utworzyć, na wzór czechosłowacki czy austriacki, kolonię domków jednorodzinnych przeznaczonych dla wychowawców i ich podopiecznych.

Do dzieła, jak to w Biłgoraju było w zwyczaju, zabrano się w sposób gruntowny i rzecz potraktowano z dużym rozmachem. Ideę poparły Kuratorium w Lublinie, Ministerstwo Oświaty oraz Towarzystwo Przyjaciół Dzieci. Odświeżono rdzennie polskie wzory znanego niegdyś działacza Jeżewskiego — twórcy idei gniazd sierocych na początku naszego stulecia. Ciekawa ta myśl, mimo że patronowali jej wielcy działacze i luminarze kultury, nie została do końca zrealizowana. Przyjęto także wzory i doświadczenia zagraniczne.

Rozpoczęto z rozmachem i godnym całej sprawy rozgłosem. Inicjatorzy i realizatorzy wioski dziecięcej w Biłgoraju odwiedzili podobne instytucje w Karlovych Varach, na przedmieściu Dolbi w Czechosłowacji oraz wioski dziecięce w Austrii. Zafascynowani pomysłem zdołali zjednać dla niego między innymi spółdzielczość mieszkaniową, która w pierwszej fazie patronowała budowie. Stąd także wybór projektanta, którym został mgr inż. architekt Jacek Gurbiel z krakowskiego „Inwestprojektu"

Całą inicjatywą zdołano także zainteresować SOS Kinderdorf International — międzynarodowe stowarzyszenie propagujące od zakończenia II wojny światowej ideę wiosek dziecięcych, twórcę ponad stu podobnych placówek na całym świecie. Z SOS Kinderdorf International nasze Ministerstwo Oświaty podpisało stosowną umowę, określającą warunki powstania w Polsce i finansowania przez stowarzyszenie Wioski Dziecięcej SOS w Biłgoraju.

Wioska Dziecięca SOS w Biłgoraju, bo tak brzmi ostatecznie nazwa tej placówki, jest nareszcie już na ukończeniu. Piętnaście pięknych, jasnych domków oczekuje lokatorów. Ci także przygotowują się do zamieszkania w Wiosce — każdy na swój sposób.

W czasie, gdy w Biłgoraju (na Rożnówce) trwały intensywne prace wykończeniowe, przyszłe wychowawczynie — kandydatki wybrane z ochotniczek, które z całej Polski nadesłały zgłoszenia do pracy w Wiosce, przeszły specjalne przeszkolenie w Zamościu. Obok tematyki pedagogicznej kurs obejmował szereg przedmiotów koniecznych w codziennym życiu, a sfinalizowany został specjalnymi badaniami. Ukończyło go siedemnaście osób.

Jednocześnie poszukiwano, głównie poprzez placówki pogotowia opiekuńczego, podopiecznych do jasnych domów. Zasadniczy warunek, jaki stawiano przyszłym wychowankom, był jeden — unormowany stan prawny dziecka. Znaleziono pięcioro dzieci, których rodzice nie żyją. Pozostałe posiadają tylko jedno z rodziców, najczęściej matki, które, mimo że ojcowie żyją, albo utraciły z nimi kontakt, albo wręcz nie są w stanie określić, kto jest ojcem dziecka. Do Wioski zakwalifikowano te, których rodzice mają ograniczoną przez prawo władzę rodzicielską lub są jej pozbawione. Z doświadczeń bowiem zarówno SOS Kinderdorf International jak i innych placówek wychowawczych, choćby naszych rodzinnych domów dziecka, wynika, że tylko dzieci, które na stałe utraciły kontakt z rodzicami, dają rękojmię prawidłowego wychowania w Wiosce.

Ponad czterdzieścioro dzieci zgromadzonych z całego kraju (jedynie dziesięcioro z naszego regionu) przebywa właśnie na kolonii w Szklarskiej Porębie, gdzie po raz pierwszy spotkały swoje opiekunki i zaczęły na nie mówić MAMO.

Obaw i nadziei sporo na każdym kroku. Trapią one i wypełniają umysły zarówno inicjatorów i realizatorów idei, jak i tych osób, które sprawują nadzór nad pracami kwalifikacyjnymi i adaptacyjnymi.

Za kilka tygodni nastąpi zderzenie wypracowanych teoretycznie wzorów, zasad zaczerpniętych z pokrewnych, ale przecież nie identycznych dziedzin, z rzeczywistością. Wioska Dziecięca SOS w Biłgoraju, pierwsza i jedyna placówka tego typu w naszym kraju, jedyna pod auspicjami SOS Kinderdorf International w całym obozie socjalistycznym, rozpocznie swój samodzielny byt. Wykorzystanie wiadomości zdobytych w czasie szkolenia, wysublimowanie instynktu macierzyńskiego i przelanie go na gromadkę, obcych przecież jeszcze, dzieci przez przybrane matki zadecyduje o wszystkim: o atmosferze w jasnych domach na Rożnówce, o wykorzystaniu tej może jedynej w życiu, szansy odzyskania pełni człowieczeństwa.

Tymczasem w Biłgoraju, tam, gdzie wśród drzew Rożnówki bielą się z dala domy Wioski, trwa ożywiona praca. Wobec tego, że nie znaleziono dębowych desek na mozaikę frontową, plastycy wykładają na ściankach domków kolorowe kompozycje ceramiczne. Trwa urządzanie otoczenia domków. Wytycza się alejki i buduje stylowe ogrodzenia wokół obiektów. Urządza boiska i place zabaw. Chodzi o to, by cały obiekt oddać w połowie sierpnia do użytku. Dzieci muszą od nowego roku rozpocząć naukę w szkole w Biłgoraju, a maluchy — zajęcia w przedszkolach.

Trwa realizacja niecodziennego zamówienia w Jarocińskich Fabrykach Mebli. Powstaje tu 15 nietypowych kompletów meblowych dla przyszłych mieszkań Wioski, a standard ich określono na poziomie eksportowym. Wszak płaci za nie dolarami SOS Kinderdorf International. Międzynarodowe stowarzyszenie pokryło także koszty szkolenia wychowawczyń.

Dyrekcja Wioski ma duże kłopoty z sprzętem gospodarstwa domowego. Mgr Józef Cap, dyrektor Wioski, dwoi się i troi, by wszystkiemu podołać. Tymczasem coraz to nowe zagadnienia i problemy utrudniają koncentrację na najważniejszym — maksymalnym przyspieszeniu tempa budowy i wyposażania Wioski.

Od początku inicjatywa budowy Wioski Dziecięcej w Biłgoraju cieszy się powszechnym zainteresowaniem zwłaszcza mieszkańców Biłgoraja i województwa zamojskiego. Komenda Chorągwi ZHP im. Dzieci Zamojszczyzny objęła nad tą piękną inicjatywą swój patronat i dzielnie go sprawuje. W budowie Wioski pomagali pracownicy biłgorajskich zakładów pracy. Istnieje koncepcja, by każdy dom objął patronatem jeden z zakładów i utrzymywał stałe kontakty z jego mieszkańcami. Nie ma dnia, by na budowie nie pracowali w czynie społecznym młodzi i starsi mieszkańcy Zamojszczyzny.

Szeroką falą do Biłgoraja płynęły i płyną datki od organizacji społecznych, młodzieży szkolnej, osób prywatnych. Nazbierało się tego już kilka milionów i sporo różnych rzeczy: od dzieł sztuki do przedmiotów użytku codziennego.

Pracom przy projektowaniu i budowie Wioski, a obecnie przysposobieniu jej dla przyszłych lokatorów, towarzyszy nieustanne zainteresowanie i pomoc Towarzystwa Przyjaciół Wioski Dziecięcej SOS w Biłgoraju. Z jego inicjatywy podjęto szereg pożytecznych akcji, ono patronuje budowie i wspiera instytucje oświatowe i organizacje społeczne. Jego codzienny trud widoczny jest przede wszystkim w tej działalności, która tworzy właściwą atmosferę wokół całej sprawy.

Siekierezada po lubelsku

Dokończenie ze str. 1

Jako pierwszy punkt programu wyświetlono filmik w konwencji undergroundu, znanej od co najmniej 15 lat i polegającej na niefrasobliwej notacji drobnicy życia, także familijnej. Żadnej inscenizacji, reżyserii, przemyślanego montażu — gola egzystencja, jak leci. Z obrazków pokazanych w BWA najbardziej mi zresztą utkwiły w pamięci wizerunki dwóch nagich pup oraz psa (w całości, więc nikt nie może mi powiedzieć: całuj psa w d...).

Następnie wystąpił sam komisarz z wykładem pt. „Sztuka elektryczna". Nie znając się na elektryczności, rezygnuję z komentarza. Zresztą kiepsko rzecz słyszałem, bo coś mnie już wypychało na korytarz.

A potem na scenie pojawił się właśnie Warpechowski, próbując zredukować ptaka do człowieka, czy mówiąc bardziej teoretycznie, w stylu Bogusława Jasińskiego (patrz „Miesięcznik Literacki", passim) — zredukować sztukę do człowieka, pozbawić ją przedmiotowości wyrażającej świadomość społeczną, by spełnić się w całej jaskrawości (patrz Stachura) gołego procesu twórczego, który — pozbawiony skrywającego prawdę obiektu sztuki — pozwala dotrzeć do istoty rzeczywistości i nawiązać bezpośredni dialog z drugim człowiekiem. Tak zresztą stanowi teoria performances i pokrewnych przedstawień, rezygnujących z kreowania sztuki przedmiotowej, przeznaczonej do oglądania, kontemplowania, a także — tfu! — do handlowania. Jest to na pewno idea piękna i podniecająca, o czym co nieco mogliby powiedzieć np. chłopi ze wsi białostockich, którzy od dawien dawna uprawiają kulturę typu „twarzą w twarz", choć nigdy nie słyszeli o onanistycznych wystąpieniach Amerykanina Vito Acconci czy cielesnych akcjach wiedeńki Valie Export i kto wie, czy znają działalność promocyjną pana Andrzeja Mroczka, szefa naszego BWA, wspomaganego dobrym słowem przez pana Bagińskiego.

Tymczasem, jak się okazało w Dniu Matki, między zamysłem a realizacją mrok ciemny (patrz Thomas Stearns Eliot) zalega i nie zawsze „przekroczenie bytu sztuki ku byciu sztuką" odbywa się drogą wzajemnego zrozumienia wszystkich uczestników procesu twórczego. Kiedy bowiem Warpechowski zachęcał papugę do reakcji emocjonalnej (bo chyba nie mentalnej!), wspomniana grupa młodzieńców zaatakowała artystę słowem ostrym, a nawet obelżywym, domagając się odeń zaniechania procesu „dematerializacji" ptaka, który uznała trywialnie za ostentacyjny akt znęcania się nad zwierzętami. Ostatecznie napięcie w sali BWA tak wzrosło, że przepaliły się bezpieczniki obyczajowe i przerwana została impreza pod futurystycznym tytułem „Sztuka jest elektryczna". Co prawda potem wybito jeszcze szyby w klatce schodowej, ale wzruszyło to kilka zaledwie osób, jako że wcześniej, 12 kwietnia, pan Marek Konieczny przygotował publiczność na okoliczność bicia tego i owego, waląc młotem, wspaniale roznamiętniony, w ścianę mniejszej sali BWA, gdzie wystąpił z programem „Think crazy na Kaplicę Sykstyńską".

Ostatnie słowo, jak się zaraz okaże, należało jednak do Warpechowskiego. Otóż w dniach 28-29 czerwca BWA urządziło kolejną imprezę z serii „akcyjnej", rozwijanej z fenomenalną konsekwencją od dwóch lat, obdarzając ją tytułem „Zapisy". Zaproszenia obiecywały: „otwarcie wystawy oraz spotkania autorskie, referaty, projekcje filmowe, performances, dyskusje" — z udziałem aktywistów z Lublina, Łodzi, Warszawy, Wrocławia, a może nawet i z innych miast PRL, co naszej dobrodusznej prasie codziennej dało asumpt do mianowania imprezy „sympozjum ogólnopolskim". W spotkaniach nie uczestniczyłem, referatów nie wysłuchałem, więc na ten temat nic nie jestem w stanie powiedzieć. Mogę tylko wyrazić nadzieję, że to wszystko było bardziej sensowne od „wystąpień autorskich" Janusza Boguckiego i Jerzego Ludwińskiego podczas imprezy pt. „Spotkania w Osiekach", zorganizowanej przez BWA w listopadzie 1982 roku, kiedy to pierwszy z wywołanych skojarzył rozwój plenerów plastycznych w Polsce z represyjną polityką kulturalną państwa wobec artystów „nowoczesnych", zmuszając ich do przeprowadzki: z dużych ośrodków do wsi i miasteczek. A miało to być niedługo po roku 1956!

Otóż w „Zapisie" wziął też udział Warpechowski, pokazując m.in. to, co do dziś można oglądać w sali BWA: planszę z takim tekstem: »„Skurwysynu, jak cię spotkam na ulicy to cię zabiję...!", powiedział do mnie 26 V 1983 r. w tym samym miejscu lokalny „PANK", uniemożliwiając mnie i mojej papużce ukończenia performance'u. Więc zabijaj...«.

Pod informacją-inwokacją widnieje podpis artysty, ale nie tylko. Widnieje tam również dobra wola performera, urzeczowiona pod postacią jednej siekierki na drucie oraz drugiej siekierki stowarzyszonej z młotkiem (jakby żyweem wyjętym z ludowej pieśni o niejakim Paramonowie, który swego czasu dał się poznać jako mistrz krwawego młotkowania).

Cytowana oferta Warpechowskiego mieści się w logice jego długiej działalności i stanowi konsekwencję sytuacji zainicjowanej 26 maja. Myślę, że przypadek ów wejdzie do annałów klasyki polskich performances, albowiem w sposób modelowy unaocznia możliwość i potrzebę permanentnego dialogu między ludźmi — bez pośrednictwa materialnego przedmiotu artystycznego, na zasadzie twarzą w twarz, świadomością w świadomości, toporek w toporek.

Szkoda jednak, że artysta nie poszedł na tzw. całość, że tej swojej determinacji nie zaznaczył czerwoną kropką. Rzecz w tym, że wspomniane narzędzia stolarskie wiszą przy wejściu do boksu, wewnątrz którego widnieje krzesło — niestety puste! Jak się domyślam, Warpechowski przeznaczył je dla siebie, widząc w przedmiocie coś w rodzaju katowskiego pnia. Gdyby tam usiadł itd., może przekonałby nas do programu ideowego reprezentowanego przezeń ruchu artystycznego, który głosi, że sztuka jest życiem, życie — sztuką, kreacja artystyczna — sposobem bycia w świecie, proces twórczy — formą doskonalenia moralnego, artysta — zwyczajnym człowiekiem, idącym wszakże drogą enoty i medytacji nad esencją własnej egzystencji, uginającej się na co dzień pod ciężarem zreifikowanej świadomości i zaciemniającej rzeczywistość ideologii. Niestety, krzesło pozostaje puste, a wielu ludzi nadal żyje w przeświadczeniu, że pole sztuki współczesnej jest ogromne i owocuje nie tylko działalnością mentalno-akcyjną, lecz także malarstwem, grafiką czy rzeźbą w formie skończonych obiektów plastycznych, które dają się co prawda zmierzyć, zważyć i przeliczyć na pieniądze, nie wyczerpując przecież swych wartości w sferze materialnej!

Jeśli już mowa o pieniądzach, to warto wskazać, że i performerzy, wbrew głoszonym przez siebie poglądom, chętnie zatrzymują się przy kasie. Oto niedawno BWA zakupiło rzecz pani Natalii LL (czyli Lachowicz) — za 22 tys. zł. Jest to krzyż w białym pokrowcu, dyskretnie oznaczonym stosownymi symbolami m.in. młotkiem (!). Zastanawia mnie tylko jedno: jak w trakcie operacji handlowej zakwalifikowano ów przedmiot? Czy uznano go za symbol religijny, dzieło sztuki, dokumentację „wydarzenia"? A może kierowano się jedynie faktem, że wykonaniem obiektu trudziła się właśnie ta, a nie inna osoba? Jakkolwiek odpowiemy, nie będzie to przyjemne dla obu stron transakcji. Ale czy BWA w ogóle będzie chciało odpowiedzieć sobie na takie i podobne pytania? Wątpię.

Jedyna rozbudowana instytucja wystawiennicza Lublina uprawia bowiem politykę, która jako żywo przypomina czasy socrealizmu, tyle że na odwyrtkę. Do sal przy ul. Narutowicza zaprasza się z reguły ludzi z tej samej „partii", z tej samej sekty, występujących zazwyczaj pod hasłami pogardy dla materii i mitologii zbiorowych, rozczulających się do łez nad własnym e g o Czasami, owszem, wpuszcza się do sanktuarium artystów innych, np. malarzy i grafików, ale w takich proporcjach, że wykreowany ostatecznie przez BWA obraz polskiej sztuki współczesnej uwierzytelnia tezę kierownictwa instytucji o zdecydowanej dominacji ilościowej i aksjologicznej ulubionej przez nią twórczości. Tezę z gruntu fałszywą, a na domiar wszystkiego egzemplifikowaną przez działania już akademickie czy wtórne, pozostające zatem w zasadniczej sprzeczności z główną ideą całego ruchu. Rozumiem, w czasie 585 dni poprzedzających 22 lipca bieżącego roku wielu artystów w ogóle nie chciało wystawiać publicznie swych prac, co zapewne utrudniało BWA prowadzenie racjonalnej polityki ekspozycyjnej itp. Nie jestem wszakże przekonany, że w tym historycznym już polu tkwi główna przyczyna jednostronnych poczynań placówki, która pod względem programowym okazuje się być kontynuacją galerii autorskiej pod nazwą „Labirynt". Przybytek ów zasłużył na pewną pamięć, prawda, ale tego, co spełniało się w niewielkiej alternatywnej galerii, opierającej się na jednej doktrynie, nie można mechanicznie przenosić w inne warunki, pod dach instytucji, która z obiektywnych i formalno-strukturalnych powodów powinna prezentować złożony, pluralistyczny wizerunek sztuki współczesnej, a więc działać tak, jak funkcjonowała np. na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Na horyzoncie tej całej sprawy rysuje się przecież cień optymizmu. Oto właśnie BWA uruchomiło, poza własnym budynkiem, galerię „Labirynt 2", która samą nazwą sugeruje, że zamierza przejąć wiele z tego, co prezentowano dotąd w macierzystej placówce, np. eksponat pt. „Sztuka żenująca. Niestety kotlety", składający się z papierowego ołtarzyka i dwóch schabowych (?) — niestety małych i już śmierdzących.

Ireneusz J. Kamiński

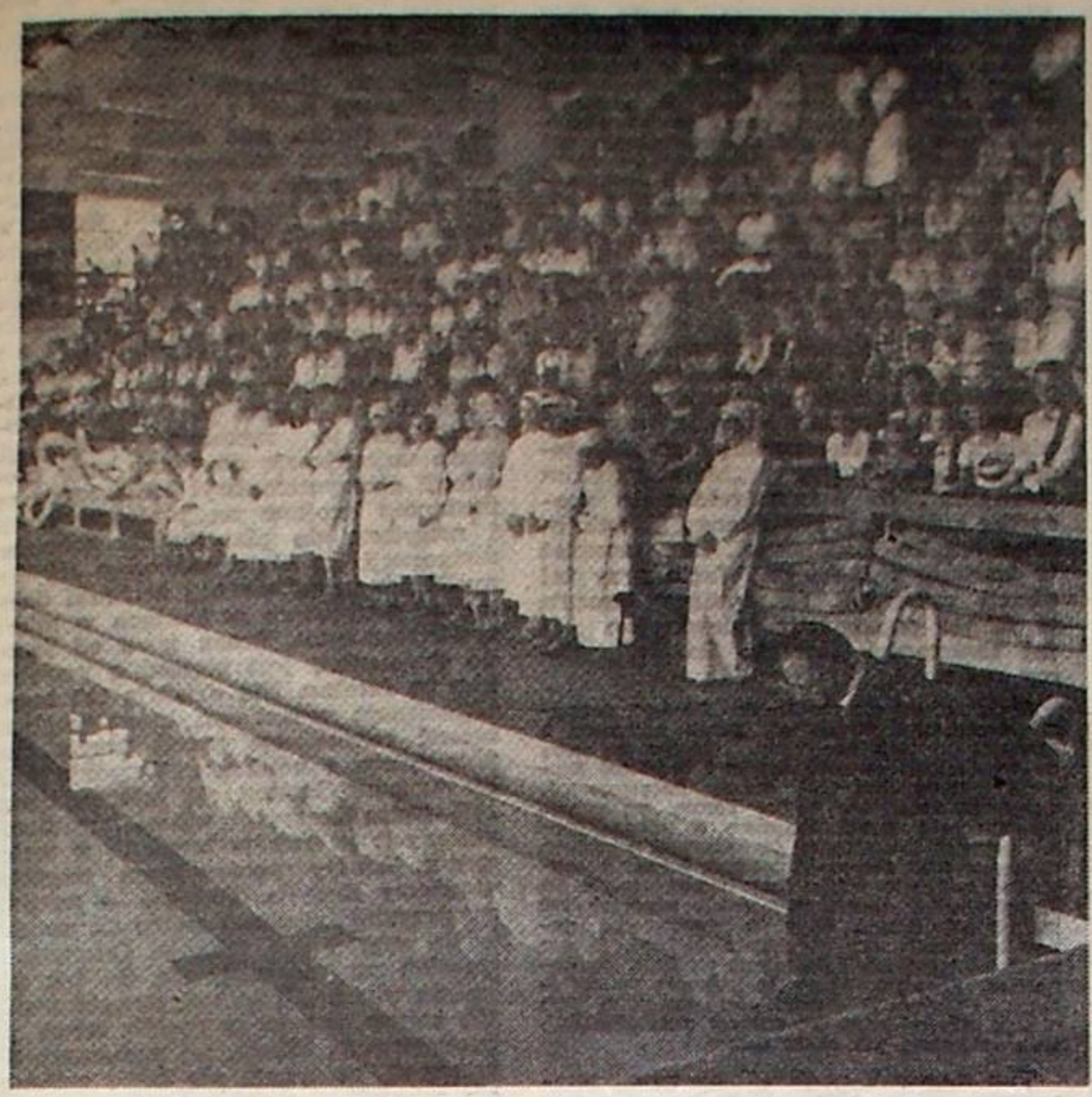

Fot. Cezary Krupa

MISTERIUM

Jacek Radziszewski

Encyklopedia Powszechna PWN w tomie I, na stronie 464: „CHRZEST, akt kultowy o charakterze inicjacji i oczyszczenia; dokonywany w formie kąpieli rytualnej (zanurzenie, polewanie i inne) w wodzie lub we krwi (np. w kulcie Mitry, Attisa); znany wielu religiom (np. indyjskiej, egipskiej, babilońskiej); w późnym judaizmie uzupełnia obrzezanie; we wczesnym chrześcijaństwie stał się, pod wpływem misteriów hellenistycznych, głównym zabiegiem inicjacyjnym, później uznany za sakrament; wiele wyznań chrześcijańskich (głównie protestanckich) uznaje jedynie chrzest dorosłych, katolicyzm — chrzest dzieci; nadawanie imion przy chrzcie od VIII wieku pod wpływem germańskim."

KRYTA pływalnia WOSiR. Lublin, Aleje Zygmuntowskie. Jest niedziela lipcowa. Dochodzi godzina 10. W pobliżu niecki basenu ustawione są krzesła. Obok nich aparatura nagłaśniająca. Trzech młodych ężczyzn stroi gitary elektryczne, a dziewczyna sadowi się przy organach elektrycznych. Przy wejściu na salę sprzedawane jest „Pismo Święte", komiksowe wydanie „Życia Chrystusa" oraz miesięcznik „Chrześcijanin". Jest duszno, bo na dworze trzydzieści stopni ciepła, a na dodatek paruje woda z basenu. Schodzą się ludzie. Widać, że się znają dobrze.

— *Jak u brata ze zdrowiem? Chyba już lepiej...*

— *Tak. Trochę... A brat dokąd jedzie na urlop?*

Słowo „brat" powtarza się bez przerwy. Zwracanie się w takiej formie jest nie tylko zwyczajem, ale i nakazem.

Poniżej ławek widowni, które powoli zapełniają się, przy krawędzi basenu stoi czternaście osób ubranych w białe, długie do ziemi szaty, przypominające sukmany Po jakimś czasie jedna z kobiet siada na krześle; zapewne źle się czuje. Do grupy w bieli podchodzi mężczyzna w sutannie księdza i coś im wyjaśnia, tłumaczy. Po czym oddala się. Jest to, jak się później okaże, zwierzchnik Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego w PRL, ksiądz prezbiter Edward Czajko.

Jest 10.30, kiedy do stołu ustawionego w pobliżu zespołu muzycznego podchodzi starszy mężczyzna „w cywilu" i bierze do ręki mikrofon. Pastor Władysław Rudkowski, głowa II Zboru Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego w Lublinie wyjaśnia, czym jest chrzest wiary dla chrześcijanina, zaznaczając wyraźnie, iż może go przyjąć jedynie osoba w pełni świadoma, która zdolna jest uwierzyć („*Kto uwierzy, ten zostanie ochrzczony*" — pada cytat z „Pisma"). Modlitwa. Potem pieśń „Dzisiaj jest dzień, który dał nam Pan". Pastor prosi o wygłoszenie słowa Bożego przez „brata prezbitera Czajko".

Kazanie w całości niemal poświęcone jest Jezusowi Chrystusowi. Silnie akcentowane są, typowe dla protestantyzmu, elementy doktrynalne. Nie ma innych pośredników między człowiekiem a Bogiem, jak tylko Jezus Chrystus; nie są nimi ani Matka Boska, ani święci. Podstawą do przyszłego zbawienia jest wiara w Jezusa.

Edward Czajko mówi także o genezie chrztu i jego znaczeniu, po czym kończy modlitwą. W tzw. międzyczasie wyprowadzona zostaje chora, czująca się gorzej.

O godzinie 11.05 następuje kulminacyjny moment uroczystości religij Ksiądz Czajko zdejmuje buty i tak jak stał, w sutannie powoli wchodzi po drabince do basenu. Zatrzymuje się na głębokości jednego metra. Sutanna pływa dokoła jego postaci, co w połączeniu z „niebieską wodą" (efekt wyłożenia ścian basenu glazurą w takim kolorze) sprawia dość oryginalne wyrażenie. Do przeszklonej ściany budynku pływalni zaczynają podchodzić roznegliżowani amatorzy słońca, którzy przyszli relaksować się na baseny otwarte WOSiR. Przylegają twarzami do szyb. Gestykulują. Coś sobie pokazują. Gromadzą się też przy dwóch otwartych oknach. Ktoś mówi: „*Ale draka... Ksiądz w wodzie...*".

Do Edwarda Czajki schodzą kolejno katechumeni poddawani chrztowi wiary. Każda z osób staje bokiem do celebrującego chrzest. Ten stoi z wyciągniętą do góry prawą ręką i zadaje sakramentalne pytania dotyczące wiary, osoby Jezusa Chrystusa i samego chrztu. Po deklaracji, że kandydat jest zdecydowany poddać się liturgicznemu zanurzeniu, ksiądz Czajko kładzie wyciągniętą rękę na jego czole, lewą podtrzymuje go pod plecy i zanurza go z głową w wodzie. Po chwili, kiedy katechumen jest już na powierzchni, zespół odgrywa stosowną zwrotkę pieśni. Osoba ochrzczona opuszcza basen. Zaraz po wyjściu otulana jest kocem i odprowadzana do szatni. Przy oknach pływalni są już tłumy... Ta ciekawość robi się żenująca. Głównie zresztą dla gospodarzy obiektu, którzy próbują wyperswadować ludziom, aby udali się jednak do wody popływać, a nie przeszkadzali. Członkom II Zboru obecność nagusów za szybą nie przeszkadza; koncentrują się na obrzędach i jest im obojętne, czy ktoś wybałusza oczy, dogaduje...

Momentem szczególnym jest chwila tuż przed zanurzeniem katechumena. Każdy na swój sposób przygotowuje się psychicznie. Jedni zamykają oczy i przygryzają wargi. Drudzy biorą w płuca potężny łyk powietrza. Niektórzy kurczowo trzymają się rąk księdza. Zaangażowanie emocjonalne — bardzo duże. Jest to wydarzenie dla katechumenów bez wątpienia ważne, znaczące. Być może nawet najważniejsze w ich dotychczasowej praktyce religijnej. Poprzedzały je zresztą długie godziny studiowania „Pisma Świętego", rozmów z członkami zboru i ważnych decyzji osobistych (np. o wyrzeczeniu się palenia, spożywania alkoholu).

Podczas gdy wierni, którzy przyjmowali chrzest oraz ksiądz Czajko przebierają się w szatniach w suche ubrania, suszą włosy, prowadzenie misterium przejmuje ponownie pastor Rudkowski. Przy akompaniamencie gitar i organów elektrycznych śpiewane są pieśni.

O godzinie 12 wraca na salę zwierzchnik Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego. Trwają przygotowania do rozdawania komunii. Katechumeni zasiadają na krzesłach przy zespole. Ksiądz Czajko łamie na srebrnej tacy chleb i nalewa ze srebrnego dzbana wino mszalne do kielichów. Członkowie zboru ruszają z chlebem i winem między braci i siostry.

Dalej pieśni. W czasie jednej z nich „Wszystko Tobie dziś oddamy" dostrzegam, że wiele osób znajduje się już w stanie ekstazy. Ręce wzniesione do góry. Szeroko otwarte oczy. Usta poruszają się niezależnie od słów pieśni. Po misterium jedna z dziewcząt powie mi, że czuła, iż właśnie wtedy słuchał ją Pan. A miała mu wiele do powiedzenia. Nie pytam o treść. Kobieta w wieku około 45 lat również z wyciągniętymi rękami mówi coś dość głośno, lecz niewyraźnie. Towarzyszy temu mimika i gestykulacja głowy. Młodzież przy zespole podczas pieśni kołysze się rytmicznie. Po ostatnich słowach każdej z nich padają okrzyki: „*Alleluja, alleluja...*"

Również w trakcie pieśni zbiera się ofiary na potrzeby zboru. Na tacach nie brakuje banknotów o nominałach 2000 i 1000. Dużo 500-setek. Bilonu bardzo mało. Członkowie wspólnoty segregują pieniądze i zapisują ilość poszczególnych wielkości nominalnych. Czynność ta powtarzana jest kilkakrotnie przez różne osoby, aby wykluczyć możliwość pomyłki. Liczenie jest publiczne i każdy może sprawdzić szczodrobliwość współbraci. Nikt jednak tego nie czyni.

Uroczystość powoli dobiega końca. Ksiądz Czajko wręcza każdemu z dziś ochrzczonych katechumenów Biblię ze stosownym cytatem. Dzień dla II Zboru zakończy się wspólnym obiadem w „Europie". Obiadem skromnym i bezalkoholowym.

W rozmowach prowadzonych z członkami wspólnoty dowiedziałem się na użytek Czytelników, iż Zjednoczony Kościół Ewangeliczny w PRL liczy dwanaście tysięcy wiernych, a liczba ta rośnie w tempie tysiąca rocznie. W obrębie Kościoła działają dwa skrzydła: zielonoświątkowe i zbliżone do baptystów. Pierwsze reprezentuje zdecydowanie charyzmatyczny stosunek do wiary, przede wszystkim zaś do Jezusa Chrystusa, jedynego pośrednika między człowiekiem a Bogiem. Obrzędy religijne celebrowane są u zielonoświątkowców entuzjastycznie, spontanicznie z dużym ładunkiem emocjonalnym. Drugie skrzydło zorientowane jest bardziej kontemplacyjnie.

Generalnie rzecz biorąc ZKE mieści się w nurcie protestantyzmu, co określa jego stosunek do podstawowych dogmatów i różni go w tym względzie od katolicyzmu. Jedną z tych różnic jest, na przykład, przekonanie, iż tylko człowiek, który uwierzy może przyjąć wiarę i zostać ochrzczony. Uwierzyć zaś może tylko człowiek świadomy; dlatego — podobnie jak większość wyznań chrześcijańskich — nie dopuszcza się chrztu niemowląt, a osób starszych (minimum 15-16-latków, u których możliwość podejmowania decyzji światopoglądowych i związanych z tym wyborów bardziej oczywista).

W takiej właśnie uroczystości miała „Kamena" sposobność uczestniczyć z zaproszenia II Zboru. Na zakończenie misterium pastor Rudkowski, dziękując prasie za przybycie, wyraził nadzieję, iż publikatory swoim pisaniem nie ośmieszą zielonoświątkowców. Mamy nadzieję, że tak się nie stało. Na mapie religijnej naszego kraju, przy oczywistej dominacji katolicyzmu, mamy także inne religie i wyznania i nie ma potrzeby o tym fakcie zapominać.

BRUCE LEE: prawda i legenda

— 5 —

„Mesjasz tłumów"

Michał Rey

Po czwartym odcinku naszego cyklu znów otrzymaliśmy listy i dość konkretne pytania w nich zawarte. Odpowiemy na niektóre.

O ile nam wiadomo, nikt w Polsce nie zajmuje się szkoleniem Jeet Kune Do (o co pytał Janusz Kalinowski z Zemborzyc). Ireneuszowi Lipczakowi z Puław radzimy napisać do Polskiego Związku Karate, gdzie powinien otrzymać interesujące go informacje na temat stylów walki zrzeszonych w tym związku oraz możliwości ich uprawiania. W Lublinie takie istnieją w odniesieniu do Taekwon-do (zarówno w wydaniu WTF, jak i ITF). Owszem, słyszeliśmy o videoprojekcjach kaset z filmami Bruce'a Lee (co bardzo interesuje Jerzego Malika, Lublin). Kontaktów z posiadaczami kaset i magnetowidów nie mamy. Nic nam również nie wiadomo na temat płatnych projekcji w czasie dyskotek w obiektach lubelskiego WOSiR przy Alejach Zygmuntowskich. Nie możemy nic poradzić Agacie Merkel z Krakowa, która chciałaby nawiązać korespondencję z 21-letnim synem Bruce'a — Brandonem Lee. Według ostatnich danych Linda Emery-Lee wraz z synami mieszka w Seattle w Kalifornii, gdzie znajduje się grób Bruce'a.

Tradycyjnie już przypominamy, że trwa nasz konkurs na najciekawsze wypowiedzi na temat „Dlaczego Bruce Lee?". Najlepsze prace uhonorowane zostaną nagrodami (3×1000 zł i 3×500 zł). Termin nadsyłania — do ukazania się ostatniego odcinka cyklu.

W HONGKONGU filmy z obszernymi sekwencjami walk wręcz według licznych stylów wschodnich (głównie zaś Kung-fu) nie były niczym nowym. Bracia Show zdawali sobie dobrze sprawę z wzięcia takich obrazów u publiczności i dyskontowali to skutecznie. Fabuły filmów nie grzeszyły głębią psychologiczną i wielowątkowością. Chodziło o pokazanie przewag płynących ze znajomości Kung-fu i praktycznej użyteczności tej sztuki. Często wspomniana praktyczna użyteczność sprowadzała się do krwawej jatki na ekranie. Towarzyszyła temu sceneria „historyczna" lub współczesna. Produkcje filmowe braci Show opuszczały wytwórnię w szybkim tempie, bowiem chodziło o maksymalnie szybki obrót tym towarem, gwarantujący szybkie zyski. Oprócz filmów walki spółka produkowała także filmy z obszernie prezentowanymi scenami erotycznymi, ocierającymi się o pornografię. Tak wzrastała potęga braci Show, którzy w 1968 roku zapragnęli mieć w swojej „stajni" także „konia czystej krwi", rokującego duże nadzieje na mnożenie zysków: Bruce'a Lee.

Po wahaniach i długim przekonywaniu przez Raymonda Chow Bruce zdecydował się na drugi come-back do ojczyzny swoich rodziców. Przyleciał na „Pachnącą Wyspę" z żoną i synami, nie likwidując jednak mieszkania w Kalifornii. Świadczy to o tym, że Bruce traktował rozstanie z USA raczej tymczasowo, jako etap do zgromadzenia dalszych doświadczeń, atutów i pozycji w drodze do Hollywood. Wu Ngang, cytowany już przyjaciel Bruce'a, mówił po śmierci „Małego Smoka":

„Bruce nigdy nie łączył przesadnych nadziei z karierą filmową w Hongkongu. (...) Współpraca z braćmi Show miała zagwarantować finansową niezależność i zwrócić większą uwagę na Bruce'a, a nie być metą i ukoronowaniem jego kariery."

Podobne opinie wypowiadała także Linda, która zresztą przez cały czas pobytu w Hongkongu czuła się obco i wyraźnie nie mogła zaaklimatyzować się psychicznie w środowisku azjatyckim.

Nie należy uprzedzać jednak faktów. Przyjazd Bruce'a Lee do Hongkongu poprzedziła kampania reklamowa prowadzona w prasie, radiu i telewizji. Przypominano wcześniejsze, nakręcone przed wyjazdem do USA, filmy Bruce'a. Przeprowadzano rozmowy z członkami rodziny, powielano dość fantastyczne wersje na temat umiejętności 29-letniego Chińczyka, jego dzieciństwa i rzekomej kariery w Ameryce. Całe to, mocno przesadzone, publicity sprawiło, że oczekiwano go jak wielką gwiazdę i objawienie.

Feta zgotowana na powitanie wrażenie to umocniła. Bracia Show kokietowali Bruce'a na każdym kroku, spełniając wszystkie niemal warunki, jakie stawiał. Dotyczyły one m.in. warunków mieszkania, edukacji dzieci, pojazdu („Rolls-Royce"). Show się zaczynał...

Pierwszym filmem, który zyskał mu, (a właściwie potwierdził pozycję Super Star) był obraz „Fist of Fury" („Wściekłe pięści"). Został on zrealizowany w bardzo krótkim czasie; zdjęcia trwały tylko trzy tygodnie. Bruce wykonał podczas zdjęć morderczą pracę. Za wszelką cenę dążąc do perfekcji w scenach walki, powtarzał je wielokrotnie, ciągle był z czegoś niezadowolony, coś kwestionował. Już po zmontowaniu filmu chciał wnosić poprawki i robić tzw. dokrętki, na co oczywiście nikt nie chciał się godzić, bowiem i tak to, co pokazał w eastmancolorze Lee, odbiegało poziomem od „klasycznych" filmów walki braci Show. Różnica była tak wyraźna, że bracia-potentaci po obejrzeniu „Pięści" długo nie mogli wydobyć z siebie głosu.

Zachwyt podzieliły rzesze widzów Hongkongu. Do kin ustawiały się kilometrowe kolejki, po projekcjach na widowni wybuchały owacje, a prasa piała z zachwytu określając go „Mesjaszem tłumów" czy „Mandaryńskim mistrzem", co dobrze oddawało specyfikę kulturową Hongkongu skłaniającego się ku Zachodowi, lecz przecież w tradycji chińskiego. Warto przy tej okazji zauważyć, że występy Bruce'a w filmie poprzedziły telewizyjne. O tej twórczości „Małego Smoka" wiemy mało.

Wydawać by się mogło, że „Pięści" powinny dostarczyć Bruce'owi pełni szczęścia i satysfakcji. Tak nie było. Mając za sobą doświadczenia amerykańskie i bardziej wysublimowane kryteria oceny artystycznej, dostrzegł miałkość treści filmu, naiwność, uproszczenia psychologiczne i zdecydowany prymat brutalności (w słusznej moralnie sprawie) nad refleksją ogólną. Bruce obserwował uważnie także inne filmy „made in Hongkong" i zaczął publicznie wypowiadać się na ich temat. Były to wypowiedzi stanowiące szok dla publiki chińskiej. Bruce zarzucał produkcji filmowej tandetę, nacjonalizm, głupotę, błędy techniczne w realizacji. Powiedział nawet, że stanowią one obelgę dla widzów (ze strony producentów) traktowanych, jak małe dzieci.

Ten moment, podkreślany przez apologetów „Małego Smoka", stanowić ma swoiste usprawiedliwienie aktora na zasadzie: dobrze to on chciał, ale... nie wychodziło. Co by jednak mówić, nawet filmy ze szczytowego okresu twórczości Bruce'a Lee (1972-73) nie grzeszą finezją intelektualną i filozoficzną.

Naturalnie, krytyczne uwagi pod adresem swoich pracodawców (braci Show) musiały spotkać się z jakąś reakcją. Bruce Lee został poproszony na rozmowę, która przerodziła się w awanturę. Zanosiło się, że dojdzie do zerwania dwuletniego kontraktu podpisanego przez układające się strony. Ostatecznie — dzięki walnej pomocy i umiejętnościom dyplomatycznym Raymonda Chow — do rozstania z potentatami filmowego biznesu Hongkongu nie doszło. Wypertraktowano natomiast dość interesujący status Bruce'a w wytwórni **„Golden Harvest LDT"**. Otóż w jej ramach utworzono spółkę produkcyjną, której właścicielami zostali Bruce Lee i Raymond Chow. Zasadniczo zmieniało to układ kompetencyjno-finansowy z braćmi Show: Lee stawał się od tej pory nie tylko wykonawcą roli zapisanej w scenariuszu (i aranżerem scen walki), ale również współproducentem. Uczestniczył i ryzykował swoim kapitałem w produkcji filmu, ale także partycypował w zyskach całości przedsięwzięcia, a nie — jak dotąd — pobierał tylko gażę.

Czy był to układ korzystny? Dla Bruce'a i Raymonda bez wątpienia. Bracia Show może — pozornie — mieli mniej powodów do radości, ale na pewno rozumieli, że takie rozwiązanie może przynieść tylko podniesienie poziomu produkcji. A to było przecież niezbędne, jeśli chcieli myśleć o wyjściu z filmami walki poza Hongkong i Azję Wschodnią.

Kolejnym głośnym filmem Bruce'a był **„The Big Boss"** („Wielki szef"). Bohaterem obrazu jest młody Chińczyk, który opuszcza rodzinną wioskę udając się do miasta w poszukiwaniu pracy. Jest on mistrzem walki wręcz, w czym ćwiczył się od dziecka, dochodząc do zadziwiających umiejętności powszechnie we wsi cenionych. Przed opuszczeniem domu rodzinnego matka prosi go, aby złożył przysięgę, iż nie użyje swoich straszliwych uderzeń przeciwko nikomu. Obiecuje to. Dociera do dużego miasta portowego (w domyśle jest to zapewne Hongkong), gdzie najmuje się do pracy przy produkcji olbrzymich brył lodu, które są następnie krojone na mniejsze części i rozsyłane do plantatorów owoców, restauracji itp. Jak nietrudno się domyślić, w pracy panują warunki dalekie od przyjętych w krajach w miarę cywilizowanych. Praca trwa od świtu do zmierzchu, jest ciężka, a warunki bhp są fatalne. Nie działają też żadne organizacje związkowe, które mogłyby bronić robotników przed oczywistym wyzyskiem i uciskiem. Wszelkie próby dyskusji kończą się interwencjami „sił porządkowych" właściciela firmy złożonych ze zbirów biegłych w walce wręcz, którzy poniewierają współtowarzyszy Bruce'a. Ten zaś — pamiętny przysięgi złożonej matce — zaciska tylko zęby i nie reaguje. Oczywiście, publika na widowni wie, że tak nie będzie wiecznie i sprawiedliwość zostanie zaprowadzona w sposób łatwy do przewidzenia. Kiedy, po szykanach fizycznych, zaczynają się także zniknięcia robotników nasz bohater rozpoczyna dochodzenie. Dokonuje makabrycznego odkrycia. W brylach lodu przeznaczonych do wysyłki (kierunek: nieznany) znajduje poćwiartowane ciała swoich współtowarzyszy. I to jest kropla przepełniająca czarę cierpliwości: Bruce rozprawia się bezpardonowo ze zbirami. Ponieważ jednak nie są to ułomki, walka jest nader porywająca i bezsprzecznie widowiskowa. Sprawiedliwość zostaje wymierzona.

To, co się dzieje w kinach po projekcjach filmu jest trudne do opisania. Owacje trwają po kilkanaście minut. Mówi się w Hongkongu tylko o „Małym Smoku". Szaleństwo jest powszechne.

Film przynosi Bruce'owi duże zyski i potwierdza słuszność rozwiązania polegającego na maksymalnie dużej partycypacji w procesie realizacyjnym (korektach scenariuszowych, aranżacji scen walki, współpracy reżyserskiej, a nawet montażowej). Nie trzeba dodawać, że film ten przyczynił się także do pomnożenia popularności „Małego Smoka". Stał się osobą (istością) publiczną. Interesowano się jego życiem prywatnym, rodziną, poglądami. Był zapraszany na przyjęcia, cocktaile, o wywiady z nim ubiegały się wszystkie publikatory.

Bruce zaczął płacić cenę popularności, o którą tak bardzo przecież zabiegał...

(cdn.)

*) „Fist of Fury" rozpowszechniane były także w krajach Europy Zachodniej i USA, ale znacznie okrojone przez cenzurę; z przyczyn jak wyżej. Dozwolone były od lat 18.

EKRAN I WIDZ

Z INNEJ PERSPEKTYWY

KILKA lat temu francuski reżyser André Halimi zrealizował — nie pokazywany na naszych ekranach — film dokumentalny „Chantons sous l'occupation" („Śpiewamy pod okupacją"). Był on oparty na kronikach filmowych z lat ostatniej wojny i ukazywał życie artystyczne w okupowanym przez Niemców Paryżu. Szczególnie żenujące dla Francuzów okazało się wyciągnięcie na światło dzienne, a raczej — przypomnienie działalności różnych kabaretów i teatrzyków rewiowych i występujących w nich piosenkarzy, których produkcje można by wręcz podciągnąć pod miano kolaboracji. Nawiasem mówiąc, warto pamiętać, że m.in. artysta tej miary co Maurice Chevalier musiał przez długi okres po wojnie świecić oczyma przed francuską opinią publiczną za swoje okupacyjne artystyczne występy i występki. „Chantons sous l'occupation" wywołał po swej premierze zrozumiałą burzliwą dyskusję we francuskiej prasie — czy jest on dokumentem epoki, rozliczeniem z przeszłością czy też paszkwilem na aktorów estradowych.

Oczywiście trzeba sobie zdawać sprawę z faktu, że niemiecka okupacja we Francji wyglądała zupełnie inaczej niż w Polsce czy na podbitych ziemiach Związku Radzieckiego, że nie było tak wielkiego terroru, a niemieccy oficerowie i żołnierze, pomimo krzyków Hitlera i Goebbelsa na temat francuskiej zgnilizny moralnej, chętnie i często się w niej nurzali po same uszy. I że termin „francuska kultura" to było coś, co im szalenie imponowało.

Francuzi mogli kręcić filmy, mogli prowadzić teatry i występować w nich, i nikt im tego nie miał za złe, włącznie z Ruchem Oporu, byle nie przekraczali określonych zasad przyzwoitości obywatelskiej i granic godności narodowej. U nas — najwybitniejsze aktorki i aktorzy woleli pracować jako kelnerzy w kawiarniach niż iść na scenę. U nas — za zbytnie umizgi ze sceny do Niemców groziła kara chłosty z wyroku podziemnego sądu, a nawet — kula w łeb. Ulubieniec przedwojennej filmowej i teatralnej publiczności Antoni Fertner został napiętnowany nie za podlizywanie się okupantowi, ale za sam fakt występowania w teatrzykach mocno podejrzanych w sensie moralno-obyczajowym i wygłaszanie tekstów na poziomie nie licującym z godnością polskiego aktora w podbitym kraju. Jakże dziwnie dla naszych uszu będą brzmiały słowa jednego z najwybitniejszych współczesnych reżyserów francuskich średniego pokolenia na temat lat wojny i okupacji we Francji: „Świat przeżywał wtedy dramat, lecz dla życia artystycznego była to wielka epoka, zwłaszcza dla teatru. W tych ciężkich czasach teatr był w zasadzie jedyną szansą ucieczki od szarości czy nawet grozy codzienności. Był to okres ostrej rywalizacji twórczej, powstały wtedy najlepsze sztuki Sartre'a, Montherlanta, Guitry'ego, Claudela, Anouilha." Tak więc wojna i okupacja, z różnych perspektyw oglądana, może wyglądać bardzo różnie.

I to, co na przykład, u jednych będzie budziło zgrozę, u innych zostanie skwitowane uśmiechem gorzkiego rozbawienia wynikającego ze stokroć bardziej ponurych doświadczeń.

Tak jest właśnie z wyświetlanym ostatnio na naszych ekranach filmem Francois Truffauta „Ostatnie metro", który we Francji został po prostu obsypany „Cezarami", cieszył się ogromnym wzięciem wśród tamtejszej publiczności, budził zgrozę jako opowieść o mrocznych latach okupacji, lecz dla niektórych polskich widzów jest czymś, na co po obejrzeniu, wzrusza się po prostu ramionami. „Niech by tak do nas przyjechali za czasów okupacji i zobaczyli, co się u nas działo!".

Otóż nic bardziej błędnego niż takie rozumowanie. Truffaut maluje sytuację taką właśnie, jaka była charakterystyczna dla francuskiego środowiska teatralnego (mowa, oczywiście, o teatrze dramatycznym, a nie — rewiowym) i dlatego, obok niewątpliwych walorów artystycznych, „Ostatnie metro" ma niebagatelne wartości poznawcze. Cała niebanalna historia uczuciowego trójkąta: Marion, właścicielka Teatru Montmartre (Catherine Deneuve), amant charakterystyczny i zarazem członek Ruchu Oporu (Gerard Depardieu) oraz reżyser, mąż Marion (Heinz Bennent) — to psychologiczna „nadbudowa", bardzo ważna i z maestrią przez Truffauta wyeksplikowana, ale zarazem wynikająca z „bazy", jaką jest w tym filmie opisanie warunków w jakich żyje i działa placówka kulturalna, która stara się w sposób godny spełniać swoją misję. Rzecz zupełnie naturalna, że w tej sytuacji reżyser filmu zadaje sobie i widzom szereg pytań: jak należy rozumieć słowo „patriotyzm", jak rozumieć funkcję artysty w warunkach szczególnych, jakie płyną konsekwencje z obcowania na co dzień ludzi ze Sztuką i jaki to ma wpływ na ich wzajemne relacje i związki uczuciowe, co jest dobre, a co jest złe?

„Ostatnie metro": Paryż, teatr, okupacja niemiecka — z francuskiej perspektywy. Trzeba koniecznie pójść i to zobaczyć!

M.D.

Ósme Zamojskie

Marian Zacharczuk

KOLEJNE, ósme już, Zamojskie Lato Teatralne mamy za sobą. Czy spełniły się oczekiwania społeczeństwa Zamościa związane z organizacją tej cyklicznej dla Zamościa imprezy? I tak i nie, opinii jest niemal tyle, ile było oglądających tegoroczne spektakle teatralne.

Daleki jestem od pisania recenzji, bo na tym trzeba się znać, chociaż, jak uczy doświadczenie, ukazywały się takowe na łamach prasy nie zawsze, moim zdaniem, trafnie napisane, co w rezultacie wprowadzało zamieszanie i zdenerwowanie wśród zamojskich organizatorów, zbyt często bowiem recenzje te napisane były w stylu amatorsko-hobbistycznym i nie oddawały w pełni ogromu przeszkód z jakimi trzeba było się uporać, by Zamojskie Lato Teatralne A. D. 1983 było nie gorsze od poprzednich.

W br. Zamość gościł dziesięć teatrów, teatrów prezentujących bardzo różnorodny profil. Większość spektakli odbywała się tradycyjnie w plenerze. Przeniesienie jakiejkolwiek sztuki teatralnej z desek sceny na Rynek lub estradę zamojskiego amfiteatru, to praktycznie montowanie spektaklu od podstaw, i o tym recezenci — hobbiści powinni pamiętać.

Uwagę tę adresuję z myślą o kolejnym dziewiątym Zamojskim Lecie Tatralnym, które będzie, bo inaczej być już nie może. W opinii mieszkańców miasta, ZLT pomimo także i swoich potknięć tak repertuarowych jak i technicznych jest sztandarową imprezą miasta i likwidowanie jej byłoby niepowetowaną stratą dla Zamościa.

Lato Teatralne mamy za sobą, czas więc na wnioski już teraz, bo okazuje się, że wiele prac podjąć trzeba z marszu, by uniknąć piętrzenia się trudności w czerwcu przyszłego roku. Tak więc, moim zdaniem, już teraz trzeba myśleć o technicznym uzbrojeniu ZLT '84.

Problem numer jeden to scena. Warto zastanowić się nad sceną, sceną zupełnie nową, której konstrukcja pozwoli na jej montowanie zgodnie z potrzebami teatrów. Nie może to być sztywno ustawiona estrada, której w żaden sposób nie można przestawić, i co w rezultacie bardzo ogranicza możliwości tak aktorskie jak i scenograficzne teatrów.

Innym bardzo ważnym problemem jest nagłośnienie. Niestety, plenerowych spektakli ZLT bez nagłośnienia zrobić się nie da. Faktem jest, że mikrofony bardzo ograniczały swobodę ruchów aktorów, zdarzało się, że pewne kwestie wypowiadane przez aktorów były słabo słyszalne i stąd konieczność uzupełnienia znakomitej aparatury nagłaśniającej, jaką dysponuje Zamość, właśnie o wysokiej klasy mikrofony, całkowicie wyeliminuje to w przyszłości niedoskonałości natury akustycznej Zamojskiego Lata Teatralnego.

Kolejny bardzo istotny problem to światło, to dobre światło, które podczas spektakli ZLT składa się na połowę sukcesu, bowiem trzy czwarte spektakli odbywa się wyłącznie przy sztucznym oświetleniu. Bardzo więc przydałyby się stałe konstrukcje, na których da się montować reflektory zgodnie z potrzebami tak scenograficznymi jak i aktorskimi. Montowanie przez zamojskie PKZ konstrukcji prowizorycznych bardzo często ogranicza możliwości wykorzystania gry świateł w zamojskich spektaklach, a szkoda. Tak więc do pełni szczęścia i powodzenia zamojskiej teatralnej imprezy potrzeba dobrego technicznego uzbrojenia.

Czerwiec i lipiec w Zamościu, to teatr i jeszcze raz teatr. Mam więc propozycję. Utrzymajmy na dotychczasowym poziomie listę spektakli w ZLT, ale kontakt z teatrami utrzymujmy w Zamościu przez cały rok. Zamojskie Lato Teatralne nie może być okolicznościową dawką teatru, kontakty z dyrekcjami teatrów proponuję kontynuować przez cały rok, będzie wtedy okazja do konfrontacji tego co w plenerze, z możliwościami teatrów w warunkach kameralnych.

Pisząc te słowa mam na myśli także i zamojską młodzież. Czerwiec i lipiec bardzo ogranicza udział młodzieży w odbiorze spektakli teatralnych, wiadomo — koniec roku szkolnego i wakacje. Celowe jest więc, by teatr gościł w Zamościu przez cały rok, są ku temu przecież warunki, a Zamojskie Lato Teatralne byłoby wtedy ukoronowaniem całorocznej edukacji teatralnej.

Warto także, wracając do ZLT, pomyśleć i o jego „kręgosłupie". W br. były takie próby. Jak nigdy dotąd, w tym roku zafundowano najmłodszym mieszkańcom miasta kilkanaście spektakli dla dzieci, które cieszyły się autentycznym, ogromnym powodzeniem, może więc i w przyszłym roku powielić ten znakomity pomysł? A może wymyśleć coś nowego? Każdy dobry pomysł jest tutaj do kupienia.

Osobny rozdział ZLT to udział Teatru Ochoty z pomysłami Jana Machulskiego i, co by się mówiło i pisało, Zamojskie Lato Teatralne bez Ochoty i Machulskiego będzie tylko wiosną.

Teatr Ochoty, moim zdaniem, jest doskonałym warsztatem, czy — jak ktoś woli — poligonem doświadczalnym dla studentów PWSFTviT, aktorów, ekip technicznych i organizatorów. Jest to także miejsce, gdzie każdy, nawet ten, kto teatrem interesuje się sporadycznie lub wcale, może swobodnie zajrzeć do „kuchni" teatru, śledzić narodziny spektaklu od jego początku i o to chyba w tej teatralnej imprezie chodzi.

Poligonem doświadczalnym tym razem był „Król Lear", który powstawał od początku do końca w zamojskim MDK i na scenie przed Ratuszem, z entuzjastycznie przyjętą premierą w godzinach nocnych 16 lipca.

Melpomena na stałe zadomowiła się już w Zamościu i trzeba zrobić wszystko, by rozwijała się z roku na rok piękniej, owocniej i ciekawiej, ale o to zadbać muszą wszyscy, krytycy — hobbiści także.

Krzyżówka Nr 20

Szyfrogram literacki

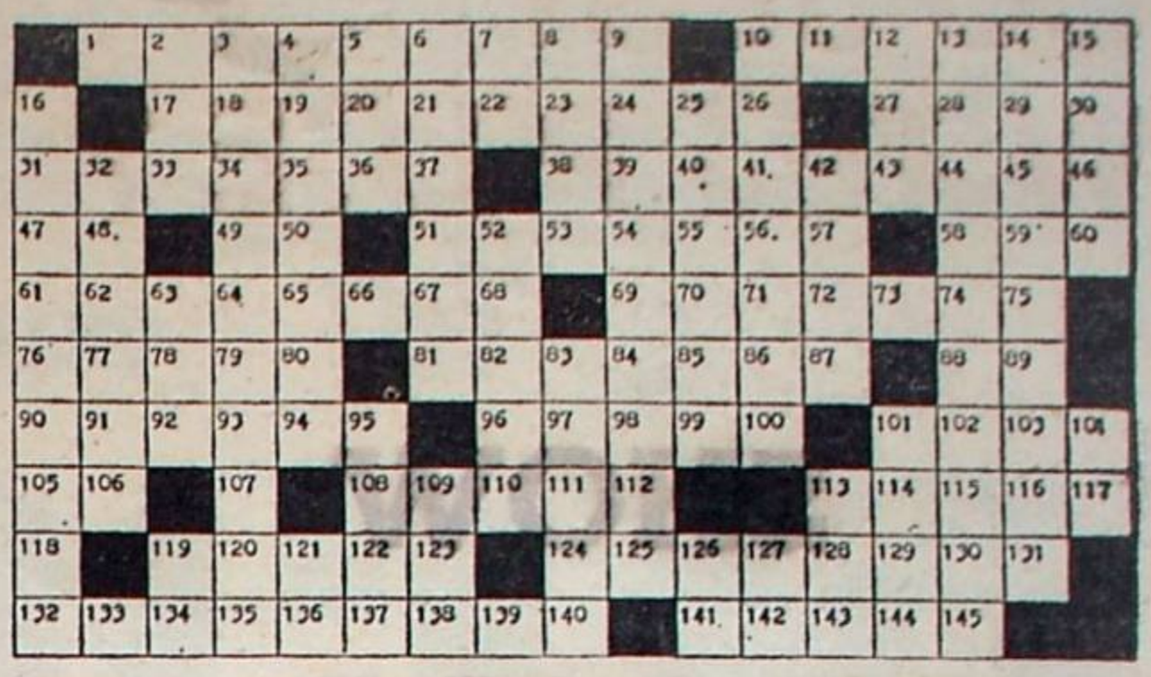

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment książki pisarza, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 17 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne pojedyncze kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne — zdania.

Wyrazy pomocnicze

1. hodowla winogron — 1. 13. 136. 121. 25. 67. 31.
2. gdy nie było metrów — 130. 91. 69. 83. 125. 87.
3. pragnienie uznania — 26. 9. 141. 86. 134. 65. 72.
4. zmierzanie — 53. 66. 45. 123. 128. 137. 74.
5. uniwersytet amerykański lub zamek patentowy — 145. 28. 96. 8.
6. powieść Amicisa — 17. 22. 60. 94. 140.
7. opryszek — 7. 102. 18. 96.
8. biblijne duchy niebiańskie — 6. 139. 107. 52. 73. 131.
9. sieć podobna do żaka — 135. 5. 44. 115. 106. 78. 109. 22.
10. posiadane dobro — 118. 35. 14. 49. 77. 134.
11. mięso z drobiu smażone w drobnych grzankach — 89. 144. 103. 133. 16. 119. 143. 15.
12. pas lub linka przenosząca siłę — 29. 2. 82. 108. 24. 93.
13. jeden z języków Indii — 54. 46. 27. 3. 63.
14. doświadczenie źródłem poznania — 36. 42. 51. 112. 32. 97. 76. 101.
15. w nim energia nuklearna — 37. 95. 21. 21. 58.
16. część świata — 41. 57. 142. 20. 90. 110.
17. gra słów o tym samym brzmieniu lecz innej treści — 75. 53. 93. 56. 79. 12. 39. 83.
18. gryzie i boli — 4. 126. 59.
19. wielkanocne ciasta — 111. 61. 30. 117.
20. błękitne nad nami — 85. 122. 48. 82. 126.
21. dawna ludowa piękność — 98. 34. 43. 68. 19. 46. 29. 64.
22. ostro łamane linie — 84. 104. 127. 116. 70. 10. 80.
23. wybucha pod nogami — 92. 114. 47. 100.
24. boczek, szynka lub polędwica — 71. 128. 132. 88. 11. 113. 105. 138.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 30 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy za 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI-SZYFROGRAMU NR 19

Wcale nie był jak inne dzieci, był raczej jak jego skrzypki z gonta, które zaledwie brzęczały. Na przednówku przy tym przymierał głodem, bo żył najczęściej surową marchwią i także chęcią posiadania skrzypek.

Henryk Sienkiewicz: „Janko Muzykant"

Nagrodę wylosowała Mirosława Koćwin, ul. Lanowa 15, 22-400 Zamość.

ARCHIWUM MISTRZÓW ANEGDOTY

Prosper Mèrimèe, dawny przyjaciel rodziny Montijo, cieszył się dużą popularnością na dworze Napoleona III. Na nim ciążył obowiązek gier towarzyskich na zamku w Compiègne. Pewnego razu Mèrimèe wpadł na pomysł oryginalnego dyktanda, pozbawionego zupełnie sensu, ale rojącego się od pułapek. Książę Metternich zrobił 3 błędy, Feuillet — 17, Dumas — 24, księżna Metternich — 42, cesarz — 43, cesarzowa — 62. Kiedy ogłoszono rezultat, Dumas zwrócił się do ambasadora Austrii, księcia Metternicha:

— Książę, kiedy postawi pan swoją kandydaturę do Akademii, aby uczyć nas ortografii?

•

W notatkach Aleksandra Dumasa (syna) odnaleziono następującą anegdotę:

„Gdy nazajutrz po bitwie pod Austerlitz Napoleon przybył do Schönbrunn, wyczytał w „Monitorze" piękną patetyczną odę sławiącą jego zwycięstwo. Utwór ten zachwycił publiczność i zyskał liczne pochwały. Nie dziwiono się wszakże jego zaletom, gdyż był podpisany nazwiskiem Lebrun. A jak wiadomo w owym czasie niepodobna było przypuścić, aby twórcą wspaniałej ody, podpisanej Lebrun, mógł być ktokolwiek inny niż Ecouchard Lebrun, jedyny znakomity Lebrun, przezwany Pindarem. Co wydawało się nieco dziwne — to wybranie przezeń takiego tematu. Czyżby Lebrun-Pindar, poeta rewolucyjny, piewca „Mściciela", stanął teraz po stronie cesarstwa?

Zachwycony poematem Napoleon rozkazał natychmiast oznajmić Ecouchardowi Lebrunowi, że została mu nadana dożywotnia renta w wysokości 6000 fr.

Wówczas dopiero okazało się, że Lebrun-Pindar nie miał absolutnie nic wspólnego z ową odą, która była w rzeczywistości utworem dwudziestoletniego studenta, noszącego to samo nazwisko. Dowiedziawszy się o tym, Napoleon pierwszy roześmiał się.

— W takim razie — zadecydował — nadaję dwie renty: stary poeta będzie otrzymywał swoje 6000 fr., a młody — 1200".

Wyszperał: Ryszard Dunin

POCZTA LITERACKA

Bożena R. Lublin. Cieszyć musi, że czerpie Pani treść do swoich utworów także z bezpośredniego otoczenia. Praca pielęgniarki, traktowana w dodatku jako powołanie, daje niemało okazji, aby dostrzec wielkość i nicość ludzkiego bytowania. Znajduje to odbicie w nadesłanych wierszach. Nadaje to Pani poezji szczególnie wiele humanizmu, a Czytelnika skłania do zadumy i rozrachunku. Rokuję Pani pisaniu dobrze. Przygotowujemy debiut.

Halina S. Nałęczów. Oczekuję następnej przesyłki za jakiś czas, gdyż część z dostarczonych utworów zachęca do tego. Szczególnie interesujące są te liryki, które cechuje otwartość, osobisty ton, skrótowość wypowiedzi.

Ireneusz W. Puławy. Napisał Pan chyba te utwory pod wpływem zbyt wielkiej liczby festiwali, jakie transmitowała telewizja w czerwcu i lipcu. Mają one raczej układ słów do estradowego śpiewania, niżby nadawały się do druku. Czy mogę jednak przesądzić ich przyszłą wartość, mogą przecież okazać się lepsze te, które zamierza Pan jeszcze napisać. Na razie najlepszy jest list do „Poczty": „Wieść radosną chcę wam jak najprędzej przekazać, wiersz cudowny napisałem, wiersz szczęśliwy, słoneczny, jeszcze jest ciepły od mojej ręki, jeszcze tuszem długopisu pachnący. Może trochę naiwny, ale tak naiwna jest młodość i radość, one są tak samo naiwne jak mój wiersz." No, proszę, samoocenę Pan ma, więc zalecić mogę, aby do redakcji nie wysyłać tak ciepłych utworów, ale nad nimi po przypływie natchnienia potem trochę pośleczyć, popracować.

TJ

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Piasecki, Waldemar Stępień (fotoreporter). Redaktor techniczny — Ewa Dybek. Korektor — Barbara Caban.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14—16.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 533-30.
PL ISSN 0137-7108. Nr indeksu 36251.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.
Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 5/1.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 533-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1922/83. 13.07.83. B-6

Jan Tomaszewski

(18)

CO JEST W TEJ PIŁCE?

SHOW DE BOLA...

TYTUŁ znaczy po portugalsku: „Pokaz futbolu"; z tym jednak, że odcień znaczeniowy słowa „show" określa bardziej pokaz dany komuś, swoistą naukę, czy — bardziej bałwochwalczo — nauczkę.

Skąd pochodziły te słowa? Z ukazującego się w Rio de Janeiro tygodnika „Placar", zajmującego się wyłącznie piłką nożną i wyścigami samochodowymi Formuły 1, a więc dwiema prawdziwymi pasjami brazylijskich kibiców sportowych. Skąd się tam znalazły? Zostały przekazane przez redaktorów pisma Carlosa Maranhao i Lemyra Martinsa, którzy przybyli do Chorzowa specjalnie na mecz Polska — Anglia. O fakcie tym dowiedzieliśmy się wraz z przybyciem do hotelu „Silesia" chłopców sir Alfa Ramsey'a, bowiem dwaj Brazylijczycy towarzyszyli ekipie angielskiej od Londynu, zapewne spodziewając się zwycięstwa Lwów Albionu (a i pewnie ze względów językowych: no bo jak sobie pogada Brazylijczyk z Polakiem?).

Zwracam uwagę na ten fakt, bo w poprzednim odcinku dość wyraźnie sformułowałem tezę, iż sukces chorzowski był początkiem kariery światowej i najlepszych dni polskiej piłki. Podtrzymuję to w stu procentach. Nie wiem, czy Brazylijczycy podejrzewali sensację na Stadionie Śląskim, ale jest faktem, że tam byli i ich specjalna relacja zamieszczona 15 czerwca 1973 (mecz 9 czerwca) wywołała wiele szumu w ich kraju. Myślę, że może okazać się interesujące zacytowanie niektórych fragmentów tej publikacji, znajdującej się w moim archiwum.

Przede wszystkim zwycięstwo oceniano jako sensacyjne i już w tytule donoszono: „75 procent polskich kibiców typowało zwycięstwo Anglików". Dane te opierano na plebiscycie przeprowadzonym wśród widzów chorzowskiego stutysięcznika. Widzowie otrzymywać mieli przed wejściem kupony z trzema rubrykami (zwycięstwo, porażka, remis) i w jednej z nich stawiali „iksa". Podobno 3/4 kibiców, choć zapewne życzyło nam z całego serca zwycięstwa, postawiło na Anglików. Taką informację otrzymali podobno goście brazylijscy od organizatorów.

Innym dość istotnym dla klimatu spotkania faktem były obserwacje poczynione przez dziennikarzy „Placaru" przy obiedzie Anglików na cztery godziny przed meczem. Panowała atmosfera pikniku, a Chivers, Channon, Peters, Ball głośno naigrywali się z umiejętności naszej drużyny. Jedynym docenianym przez nich zawodnikiem był Włodek Lubański oraz darzony pewnym szacunkiem „Kaka" Deyna. Wychodząc po obiedzie z restauracji hotelowej trener Ramsey nie krył optymizmu i z uśmiechem na ustach zapewniał dziennikarzy o ostatecznym sukcesie.

Artykuł rozpoczynało stwierdzenie: *Willie, stary lew, który do niedawna ryczał tak głośno, teraz milczy, z ogonem między nogami i z koroną leżącą na ziemi [...]*

How are you, Mr. Ramsey?

Foto: CAF — St. Jakubowski

Po opisie przebiegu gry następowała bardzo trafna, choć może nieco przedwczesna analiza naszych szans w dalszych rozgrywkach:

[...] Walia, Anglia i Polska zostały z szansami niemal równymi. I Polska jest trochę lepsza. Przegrała z Walią 0:2 w Cardiff, lecz podreperowała się zwycięstwem z Anglią. Jej następne spotkanie z Walią 26 września i jeśli je wygra, co jest bardzo prawdopodobne, będzie grała w dniu 17 października w Londynie potrzebując jedynie empate (remisu), nawet nie zwycięstwa. [...] Do ostatecznych decyzji brak jeszcze czterech miesięcy, czas to dostateczny, żeby Anglia przygotowała lepiej swoją reprezentację. Lecz polska biało-czerwona drużyna może bardzo łatwo połknąć zmęczonego angielskiego lwa, którego jeden z niewielu polskich optymistów namalował z trzema golami w siatce i pomylił się tylko o jedno trafienie [...]

Bardzo miło czytało się takie słowa, bowiem wyrażały nasze skryte marzenia i aspiracje. Brazylijscy dziennikarze przypominali także słynny pojedynek Anglia — Węgry na Wembley w 1953 roku, kiedy to faworyzowani gospodarze zostali odprawieni przez Madziarów 6:3, a Alf Ramsey osobiście grał w drużynie angielskiej i zawinił dwa gole.

Interesująca wydawała się też ocena naszej drużyny, wypowiadana przez tych nie byle jakich przecież fachowców:

[...] Zespół polski jest młody (średnia wieku 25 lat) i jeśli nie jest sensacyjny, to co najmniej dobry. Gracze są trochę sztywni, brak im latynoamerykańskiej giętkości, ale dobrze trzymają się w polu, atakują z pewną siłą, a atakowani — bronią się dobrze. Między nimi są: wspaniały bramkarz o skutecznych wybiegach (Tomaszewski), skuteczny obrońca (Gorgoń), inteligentny „człowiek środka pola" (Cmikiewicz) i niebezpieczny środkowy napastnik (Lubański). Ten ostatni jest dziś jednym z najlepszych napastników w Europie, którego „Ajax" (Amsterdam) chce kupić za każdą cenę. [...]

Artykuł „Placaru" ozdabiały także inne obserwacje i „smaczki" meczowe. Policzono na przykład, że na stadionie było 300 kibiców angielskich, z których 39 ubranych było w „jakieś mundury" i maszerowało z flagą państwową. Dostrzegli, że tuż po strzeleniu drugiej bramki przez Włodka Lubańskiego rezerwowy teamu angielskiego, Tommy Curie, połamał kwiaty, które otrzymał przed meczem i następnie siadł na nich.

Nie żałowano także cytatów z prasy angielskiej. „Daily Mail" donosił wielkim tytułem: „Anglia zdradzona przez Ramsey'a", zaś „Times" uderzał w nuty raczej smutku niż oskarżeń: „Rozpaczliwie smutny wieczór sir Alfa Ramsey'a i całej Anglii".

Tak oto widziało nasz sukces dwóch dziennikarzy z królestwa futbolu — Brazylii, podkreślając przy tym naszą skromność, zręczność i siłę, które ich zdaniem powiny procentować w przyszłości. Były te słowa prorocze i warto o nich dziś pamiętać.

Po naszym chorzowskim sukcesie pochwalne opinie wypowiadało wiele osób. Zabrał m.in. głos ówczesny rzecznik prasowy rządu, minister Włodzimierz Janiurek, który stwierdził:

Uważam, że sukces ten posiada co najmniej taką wartość, jak złoty medal olimpijski. Nasza drużyna zagrała przede wszystkim bardzo dojrzale. Pokazała, że stać ją na równorzędną walkę z tak renomowanym przeciwnikiem jak Anglicy [...] Serdecznie gratuluję całej drużynie. To był bez przesady wielki sportowy wyczyn.

Tak mówiły czynniki oficjalnego szczebla, bo w sumie wynik ten także pracował na prestiż całego kraju, a pośrednio także na jego władze. Dla mnie największą wagę miała jednak inna opinia nadesłana na ręce trenera Kazimierza Górskiego, jak zwykle cichego i skromnego bohatera wydarzeń chorzowskich. Otrzymał on kartkę pocztową od niewidomych dziewczynek, które w prostych słowach mówiły o swojej radości:

Myśmy mogły słuchać tylko radia, ale nam to wystarczyło i byłyśmy bardzo szczęśliwe, za co Panu i całej reprezentacji dziękujemy z całego serca.

Naturalnie euforia pomeczowa dosięgnęła wszystkich uczestników meczu. W rodzinnych miastach odbywały się uroczyste powitania piłkarzy. W Łodzi witano Mirka Bulzackiego i mnie oraz oczywiście trenera Kazimierza Górskiego, który prowadził (z Pawłem Kowalskim) ŁKS. Wróciliśmy do ligowej rzeczywistości. Zresztą dość niedługiej, bo runda wiosenna się kończyła...

Tytuł mistrzowski wywalczyła mielecka „Stal", a ŁKS zajął szóste miejsce, co było wynikiem najlepszym od piętnastu lat. Obiektywnie rzecz biorąc, gdyby nie kilka głupio straconych punktów, moglibyśmy być w pierwszej trójce. Mimo dobrego miejsca w tabeli kibice mieli żal, że osiągnęliśmy tak... mało i mówiono o nie spełnionych nadziejach. No ale kto zadowolił kibiców? Żeby nie być gołosłownym muszę powiedzieć, że przed sezonem z klubu odeszło kilku podstawowych graczy, m.in. Suski, Sadek, Gutowski, But, Chodakowski, Pyrdoł. W ich miejsce trenerzy nie kupowali nikogo, bo ŁKS zawsze był klubem biednym (jest nim zresztą do dziś). Weszła natomiast do gry młodzież. Nie była chyba taka kiepska, skoro przy podsumowaniu sezonu ŁKS mógł się chwalić dwoma ludźmi w pierwszej reprezentacji kraju (Bulzacki i ja) oraz szóstką graczy w młodzieżówce (Drozdowski, Kasalik, Jałocha, Lubański, Białek, Ostalczyk). Była to równocześnie jedna z najmłodszych drużyn ekstraklasy (ta tradycja jest utrzymywana także dziś). Tyle o motywie „klubowym" dzisiejszego odcinka.

Po wiktorii angielskiej PZPN postanowił wysłać autorów na tournée po Ameryce Północnej, a precyzyjniej — do USA i Meksyku. Nie chodziło o wyniki i nie oczekiwano od nas rewelacyjnej gry, bo byliśmy po ciężkim sezonie ligowym i reprezentacyjnym. Szło bardziej o relaks, zwłaszcza że mieliśmy gościć w licznych środowiskach polonijnych. Rzecz jasna wyjazd był na tyle atrakcyjny, że myśleliśmy o nim wszyscy.

Pewną niewiadomą było stanowisko trenera Górskiego, który zapowiadał rozstanie z kadrą po meczu chorzowskim. Po wygranej nikt serio nie brał tej zapowiedzi, ale nagabywany przez prasę „Kazio" odpowiadał enigmatycznie i nie stawiał kropki nad „i". Ze swej strony chłopaki namawiali go na pozostanie i nikt nie wyobrażał sobie innego trenera, choć pewnie kilku kandydatów by się znalazło. Ostatecznie sprawa ta była przedmiotem posiedzenia Zarządu PZPN i 28 czerwca 1973 roku z radością przeczytaliśmy komunikat PAP: *Kazimierz Górski pozostaje na dotychczasowym stanowisku do zakończenia rozgrywek eliminacyjnych o zakwalifikowanie się do mistrzostw świata.*

W tym samym czasie poinformowano o reformie systemu rozgrywek ligowych poprzez powiększenie ekstraklasy do 16 drużyn i utworzenie dwóch grup II ligi po 16 zespołów każda. Było to wydarzenie w pewnym sensie „rewolucyjne", komentowane przez prasę, działaczy, kibiców, no i samych piłkarzy. Pewną ciekwastką było, że to novum najmniej przeszkadzało nam, graczom.

Tradycyjnym zwyczajem katowicki „Sport" ogłosił wyniki „Złotych butów". Najlepszy okazał się Jurek Gorgoń z 90 punktami, przed Leszkiem Ćmikiewiczem 85,5 pkt. i Grzesiem Lato, który znakomicie spisywał się na ligowych boiskach i w młodzieżówce, ale nie miał okazji zająć miejsca na prawej flance reprezentacji. Dalej szło dwóch legionistów — Robert Gadocha (74 pkt.) i Kazio Deyna (72,5), Kraska (71,5), wiślak Musiał (70), Rześny (69) i Tomaszewski z 67 punktami. Zamykał dziesiątkę „Zyga" Szołtysik (66,5). Następny w kolejności bramkarz, Zygmunt Kukla, miał 61 punktów i zajmował 22—24 pozycję. Dopiero dwunasta pozycja Włodka Lubańskiego wynikała z kontuzji uniemożliwiającej występy ligowe (miał 65,5 pkt.) co pozbawiło go przynajmniej 20—25 punktów i czołowej pozycji.

Z kolei ustalona przez „Przegląd Sportowy" lista dziesięciu najlepszych piłkarzy wiosny była następująca: 1. Włodzimierz Lubański, 2. Jerzy Gorgoń, 3. Robert Gadocha, 4. Lesław Ćmikiewicz, 5. Grzegorz Lato, 6. Jan Tomaszewski, 7. Jerzy Kraska, 8. Adam Musiał, 9. Kazimierz Deyna i 10. Henryk Kasperczak. Jak widać, mieścili się tu podstawowi gracze kadry plus Grzesiek Lato.

Wymaga także, moim zdaniem, podania jedenastka wiosny 1973 roku, jako pewien fakt może już historyczny, ale wtedy rokujący wielkie nadzieje na przyszłość. Bramka: Jan Tomaszewski. Obrońcy: Krzysztof Rześny, Jerzy Gorgoń, Lesław Ćmikiewicz, Adam Musiał. Pomoc: Jerzy Kraska, Kazimierz Deyna, Henryk Kasperczak. Atak: Grzegorz Lato, Włodzimierz Lubański, Robert Gadocha.

Taki był nasz kapitał przed jesiennymi meczami „o wszystko" z Walią w Chorzowie i Anglią na Wembley.

(cdn.)

Do druku przygotował:
Waldemar Piasecki